DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1,—.

Rok IX | Warszawa, 31 maja 1953 r. | Nr 22 (392)

W NUMERZE m. in.:

SZ. DEREŃ — Tajne archiwa niemieckie

A. ROGALSKI — Od Fryderyka I do Hitlera

Z. KUTHAN — Szui-Hu-Czuan

M. RADAWIAK — Gdy człowiek jest przezroczysty

A ŚWIDERSKA — Juliusz i Salomea

T. JANKOWSKI — Giecz — przywrócony historii

L. PROROK — „W małym domku"

Józef BIENIEK

Książki i ludzie

ILE razy przyjdzie mi zetknąć się na terenie sądecczyzny z problemem czytelnictwa — zawsze z poza stosów książek wychyla się ku mnie ta sama dawno poznana twarz. Z prof. Janem Markiewiczem, kierownikiem Powiatowej Biblioteki Publicznej i głównym motorem wszelkich zaistniałych na tutejszym terenie zdarzeń książkowych — zetknąłem się po raz pierwszy przed 15 laty, gdy w szeregach Tow. Szkoły Ludowej rozpoczynałem swój start kulturalno- oświatowy. Ale dzisiejszemu spotkaniu nie może się równać żadne z zaistniałych w przeszłości.

— Gdyśmy wiosną 1945 r. — mówi prof. Markiewicz — jako tako uporządkowali niedobitki książkowe — skonstatowaliśmy ze zgrozą, że jest tego nie wiele więcej ponad 6 tysięcy. I to najróżnorodniejszej zbieraniny, rozrzuconej po wszystkich kątach powiatu. Trzeba było zwielokrotnić energię, aby zwielokrotnionym potrzebom nowych czasów jako tako nadążać. I zaczęło się. A oto skutki.

Obecnie sieć biblioteczna naszego powiatu liczy oprócz bazy powiatowej 20 bibliotek gminnych i miejskich oraz ponad 150 punktów bibliotecznych. Liczba posiadanych książek dochodzi w tej chwili do 80 tysięcy tomów. Czytelników ewidencjonowanych mamy 15 tysięcy. Faktycznie jednak liczba ta jest grubo wyższa, gdyż tysiące ludzi korzysta z naszych książek za pośrednictwem czytelników zarejestrowanych. Obrót książek za rok 1952 wyniósł 225 tysięcy. I znów liczbę wypożyczeń należałoby co najmniej podwoić z uwagi na poruszony wyżej fakt czytelnictwa nierejestrowanego. Fakt ten przecież nie martwi nas, ale owszem, cieszy. Im więcej bowiem razy dotknie dobra książka czyjejś duszy, tym większe będzie nasze żniwo, bo o tyle poszerzą się granice czyichś uczuć i pojęć...

*

A teraz wyjdźmy poza granice cyfr i bibliotecznych izb — na poszukiwanie ludzi żywych i zdarzeń żywych, aby zobaczyć różne fazy udziału książki w kształtowaniu się człowieczego losu.

*

Zacznę od wspomnień. Patronem pastuszej bandy, z którą hasłem 25 lat temu po zawrociańskich ugorach, był dziadek Kuba — żołnierz wielu armii i wielu wojen, dożywający resztek dni na łaskawym chlebie córki, w charakterze pastucha. Bo życie chłopskie w tamtych czasach zaczynało się i kończyło na pastwisku.

Dziadek Kuba uznany powszechnie za półgłupka i dziwaka nie cieszył się sympatią starszyzny gromadzkiej. Powodem tego były, jak się później zorientowałem, buntownicze hasła, które dziadek przy byle okazji ostentacyjnie wygłaszał, a których treścią były proroctwa o rychłym nadejściu czasów równości i sprawiedliwości społecznej.

— To zabity komunista — mówili o Kubie wszyscy, którzy mieli się o co bać, i szczuli dziadka psami, gdy tylko pokazał się we wsi.

Mnie dziadek Kuba utkwił w pamięci z przyczyn zgoła innych. On to bowiem rozbudził we mnie i rozbudował umiłowanie prawości, to w jego „szkole" zrozumiałem, że celowanie z procy do przechodzących drogą ludzi, zabijanie wiewiórek, niszczenie ptasich gniazd itp. wyczyny pastwiskowego zuchwalstwa nie są dowodem junactwa, ale ohydy, to on nauczył mnie kochać książki żywo i serdecznie, to on wreszcie szeregiem śmiałych, choć może nie zawsze trafnych wypowiedzi na temat tej czy innej postaci danej powieści nauczył szukania w książce właściwego sensu.

Do jednej z bardziej charakterystycznych ocen książkowych dziadka Kuby należała jego krytyka „Trylogii". Wytrzasnąwszy skądś to arcydzieło — czytałem tom po tomie pastuszej bandzie, która leżąc na brzuchach słuchała z rozdziawionymi pyskami pasjonującej lektury, wyrażając od czasu do czas swój zachwyt w sposób nie tyle żywiołowy i szczery, ile dosadny i nieocenzuralny.

Dziadek Kuba to stękał i ślimtał się jak baba, to znów śmiał się i mruczał niby głaskany pod włos kot, a czasem, gdy mu tam coś w treści nie pasowało, wzdrygał się i klął. Aż na raz przy czytaniu „Pana Wołodyjowskiego" wściekł się zupełnie.

— Rzuć to do diabła — ryknął z niespotykaną u niego pasją. — Cudowne, psiakrew, porywające, wspaniałe, ale w całości jeden wielki hymn na chwałę szlacheckich oprawców... Ta czerń, o której pisze Sienkiewicz z taką pogardą i niechęcią — to właśnie my, chłopi. A Chmielnicki to nikt inny, tylko bohater walczący o prawa chłopstwa przeciw krzywdzie i jaśnie pańskiemu wyzyskowi... Zaś co najobrzydliwsze w tym, to liczne sceny mordów, walk, tortur i wbijania na pal... To ostatnie potworność nie do pojęcia dla człowieka mającego czułe na krzywdę serce...

Uspokoił się jednak i pozwolił mi skończyć. Kiedy zaś poznaliśmy się w taki sam sposób z resztą dzieł Sienkiewicza — sąd Kuby o tym pisarzu uległ radykalnej przemianie. Porwała go i przekonała przede wszystkim lektura „Krzyżaków" i „Quo Vadis". Odtąd też najczęściej z ust starego słyszało się wielką troską przepojone słowa:

— Na terenie naszej gminy jest 12 szynków, w których dzień po dniu upija się setki chłopów tracąc zdrowie, rozum i pieniądze. Nie ma natomiast ani jednej biblioteki, a te kilkadziesiąt książek znajdujących się w prywatnym posiadaniu nauczycielstwa i księży docierają tylko do tych nielicznych amatorów czytania, którzy książki pragną i pilnie poszukują... Boże, Boże — wzdychał przytym — jakże pięknym byłby świat, gdyby karczmy zastąpić bibliotekami a kieliszki książkami...

O Kubo... gdybyś był dożył do dziś!

Dziś na terenie tej samej gminy nie ma ani jednej karczmy. Jest za to wielotysięczna biblioteka gminna i 15 punktów ruchomych obsługujących ciągle nowym zestawem książek 15 gromad tej gminy.

*

DO grupy, która rosnąc w ciągu pastwiskowych lat w kręgu wpływów Kuby zakochała się w książce i pozostała z nią w serdecznej komitywie — należał Szczurek, żylasty drab, postrach wszystkich, którzy ośmielili się mieć czasem inne niż on zdanie, nie podzielić się z jego wiecznie głodnym żołądkiem, lub „wleźć mu na honor" obojętnie w jaki sposób. „Lewy" syn kulawej Margośki, bezdomnej wyrobnicy, rychło po urodzeniu sierota — pozostał na zawsze pasierbem losu. Nie cierpiał przecież nigdy tyle co inni w jego pozycji, gdyż posiadając potężne muskuły i porywisty charakter nie dał się ponieważ i prał każdego, kto mu w drogę wszedł, bez miłosierdzia. Szanował jedynie dziadka Kubę, który też kochał dryblasa jak syna. Temu też tyle uczuciu zawdzięczać należy, że Szczurek nauczył się od dziadka wielu pożytecznych rzeczy, a między innymi czytać, pisać i kochać książki.

Nie wygrał Szczurek losu. Strawiwszy młodość na harówce po służbach i użeraniu się z gazdami wziął się do tłuczenia kamieni, dorabiając się po latach ciężkiej harówki małej chaty i równie małego w stosunku do potrzeb kawałka ziemi. Pozostał mimo wszystko wierny kamiennemu przeznaczeniu i tłucze po dziś dzień. Pozostał także wierny książce.

Oto właśnie siedzimy razem w godzinie popołudniowej siesty przy potężnej pryzmie kamieni, nakrywani raz po raz chmurami pyłu wzniecanego przez koła pędzących samochodów i gawędzimy wspominając Kubę i jego marzenia, których realizacji nadszedł wreszcie czas. Na kolanach Szczurka leży kromka razowca, a obok książka. Dwie najważniejsze potrawy w twardym życiu tłukacza.

— Dostałem od syna — mówi stary wskazując książkę. — „Pamiątka z Celulozy"... Fajna rzecz. Taka prosta jak serce ludzkie i taka prawdziwa z życiem ludzi biednych oraz z tym wszystkim, co sam przeszedłem, że wciąż mi się wydaje, iż to ja jestem jednym z bohaterów powieści, że to moje własne życie i wielu takich jak ja stało się jej tematem...

— A syn — pytam — co z nim?

— O, syn — twarz starego poryta setką bruzd, czarna od wichrów i słońca rozjaśnia się i wygładza. — Z niego będą ludzie... Jest na pierwszym roku Akademii Handlowej i pierwszym w nauce... Cieszę się nim, bo kocha książki, a kto kocha książki może być jak ja biednym, ale nigdy nie będzie ani złym, ani głupcem, ani małym...

*

POD okwieconą jabłonią siedzi smukła jasnowłosa dziewczyna i czyta. Zaczepiam, przepraszam, i już za chwilę rozmawiamy jak starzy znajomi.

— Czytać zaczęłam dawno — mówi Irka Bugańska, studentka Wyższej Szkoły Rolniczej. — Już w podstawowej miałam opinię zawodowego pożeracza książek. Im też zawdzięczam najpiękniejsze przeżycia i wzruszenia. A nawet to, że jestem słuchaczką wyższej uczelni. Bo tylko książką zwyciężyłam opór rodziców, którzy mnie jako jedynaczkę chcieli widzieć spadkobierczynią kilkumorgowego gospodarstwa.

Czytam w tej chwili „Młodą Gwardię". Już chyba po raz trzeci. Kocham tę książkę i stawiam ją nad wiele dzieł światowej sławy. Nie tylka za bohaterską postawę młodzieży radzieckiej, ale przede wszystkim za ogromny ładunek najgłębszej prawdy o człowieku.

Ściskamy sobie ręce i żegnamy się z żalem. Jak dwoje zakochanych. Istotnie zakochanych — w książce.

BARBARA WNĘK ma 28 lat. W tym 19 lat życia — reszta męki. Barbara w 19 roku życia, akurat na miesiąc przed ślubem z bardzo kochanym człowiekiem uległa nieszczęśliwemu wypadkowi, w wyniku którego została na całe życie kaleką — bez władzy w nogach.

— Bóg jeden wie — mówi tęsknym, matowym głosem — ile wycierpiałam przez te 9 lat. Zwłaszcza na początku choroby, gdy trzeba było rezygnować z tylu czarownych nadziei, gdy trzeba była wykreślić z życia miłość i szczęście... Toteż nie wiem, czy byłabym zdolna przeżyć tę straszną tragedię, gdyby nie książki. To one, gdy w ciężkiej próbie zawiodło czyjeś serce, pozostały wierne, wypełniając smutne moje dni wzruszeniem i uśmiechem. Czytając płaczę nad czyimś bólem lub cieszę się czyimś szczęściem, przeżywając sprawy, których własnemu życiu brak na zawsze.

Jest maj. Łóżko chorej stoi tuż przy oknie, za którym kwitnie sad i szumi wiosna. Poprzez konary potężnej gruszy przecieka słońce i smugą blasku gładzi bledziutką twarz chorej. Barbara odkłada książkę, przymyka oczy i ogarnięta falą smutnego znużenia popada w zadumę.

Przy chorej siedzi zgarbiona staruszka — matka. Położyła na czole chorej sczerniałą od trudu dłoń i zanurzając palce w złocistej mierzwie rozsypanych po poduszce włosów mówi:

— Niech Bóg da zdrowie tym, którzy sprawili, że w naszej gminie powstała biblioteka z pięcioma tysiącami książek. Gdyby nie to, życie tej biedaczki byłoby stokroć cięższe...

*

Z góry, na której Marysia Stokówna pasie krowy, roztacza się wspaniały widok. Na samym środku głębokiej doliny bieleje miasto opasane wodami trzech rzek. Ku miastu jak rzeki ku morzu zbiegają liczne drogi i tory, a nad miastem wieże świątyń strzegą spokoju granic człowieczej duszy...

Marysia, szczupła dziewczynka o płowych włosach, w których wdzięczy się niebieska jak jej oczy wstążka, zamyka książkę, przepędza okazałą „Cisulę" wykazującą zbyt agresywne zamiary pod adresem sąsiedniego łanu koniczyny i pokazując pędzący w dolinie pociąg mówi:

— Tymi szynami odjechał parę dni temu ostatni mój brat na kurs traktorzystów. Przeczytał jakąś powieść o traktorzystach i uwziął się, że niczym innym nie będzie tylko traktorzystą. I pojechał. Oprócz niego mam jeszcze we świecie dwie siostry i trzech braci. Troje z nich już pracuje — reszta się kształci. I tych też wygnała z domu książka. O, bo nasza chata to istna czytelnia. Wszyscy, nie wyłączając tatusia i mamusi, gdy tylko dopadną chwilę czasu — zaraz

(Dokończenie na str. 2).

JAN JUSZCZYK

NARODZINY

Dłoń od pługa imała się książki
w późną noc, gdy czas odpoczywał
i po sercach nie błąkał się smutek,
kiedy dom spał cały jak niemowlę
w nokturnową zasłuchane nutę.

Skrawek czasu na naukę był wąski,
przepleciony sennością jak noc,
więc śpieszyłem od książki do książki,
by się program nie kurczył jak rok.

Poprzez okna do pokoju wpadał
dźwięk lipowy przemieniony w baśń,
Czarnolaska muzyka płynęła
w moją młodość, zasłuchaną w pieśni
wyłuskanej z pachnącego drzewa...

Szymon DEREŃ

TAJNE ARCHIWA HITLEROWSKIE

LUDZIE często wyobrażają sobie, że możność zapoznania się z tajnymi aktami dyplomatycznymi spoczywającymi w archiwach poszczególnych państw ujawni od razu podstawową treść polityki i jej prawdziwe cele, które zamierzały realizować zwłaszcza te rządy, które snują plany imperialistycznych zaborów i dominacji światowej. Jest to, w każdym razie w odniesieniu do czasów nowożytnych, duża iluzja, gdyż dzisiaj nawet najbardziej brutalni agresorzy starają się maskować swe istotne cele, a zwłaszcza ich klasowe motywy, za pomocą różnorodnych formułek odwracających uwagę od rzeczy najważniejszych.

Ta parawanowa frazeologia używana była, a stosowana jest i obecnie przez państwa imperialistyczne, nie tylko na zewnątrz w wystąpieniach publicznych i w tzw. języku dyplomatycznym, ale w dużym stopniu również i w obrocie wewnętrznym, tj. w poufnych konferencjach, instrukcjach i aktach ograniczonych do użytku służbowego i traktowanych jako tajemnica państwowa. Występują w nich najwyżej konkretne projekty działania na najbliższą przyszłość, jednakże bez zdradzania w ramach jakich motywów przewodnich mieści się dana akcja.

Odnosi się to w szczególności do archiwów dyplomatycznych ministerstw spraw zagranicznych państw burżuazyjnych. Obejmują one jak wiadomo, poza dokumentami traktatowymi, korespondencję między centralą a placówkami zagranicznymi oraz notatki wewnętrzne na użytek służbowy kierownictwa dyplomacji danego kraju. W dokumentach tych znajduje głównie wyraz sposób, w jaki polityka zagraniczna własnego kraju ma być przedstawiona i komentowana na arenie międzynarodowej oraz ujawnia się ocena polityki innych państw przez dyplomację własną.

Pamiętając więc, że żadne archiwa dyplomatyczne nie są jakimś panaceum dla bezpośredniego zrozumienia tajemnic polityki międzynarodowej, gdyż stanowią one tylko surowy materiał wymagający wnikliwej i krytycznej analizy, stwierdzić należy, że każde ogłaszanie takich urzędowych dokumentów ułatwia nader wydatnie prace nad historią dyplomatyczną danego okresu. Te myśli nasuwa nam rozpoczęte przed paru laty wydawanie „Tajnego archiwum Wilhelmstrasse", które po wojnie trafiło do rąk mocarstw zachodnich.

W archiwum niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych na ulicy Wilhelmstrasse w Berlinie przechowywane były tajne akta dyplomatyczne w zasadzie niedostępne dla badaczy naukowych. Obejmowały one zbiory dokumentów o polityce zagranicznej II i III Rzeszy począwszy od 1867 r. W latach II wojny światowej ewakuowano je poszczególnymi partiami na prowincję, aby uratować od skutków bombardowań powietrznych Berlina. Częściowo uległy one jednak zniszczeniu podczas działań wojennych. Niektóre partie trafiły do rąk władz radzieckich, które wykorzystały je m. in. w ogłoszonym i w Polsce dwutomowym zbiorze „Dokumenty i materiały z przedednia II wojny światowej". Większość niemieckiego archiwum dyplomatycznego została przewieziona do Wielkiej Brytanii, gdzie jego opracowaniem zajęła się specjalna komisja historyków amerykańskich, angielskich i francuskich.

Komisja ta otrzymała polecenie wydania najważniejszych dokumentów mających oświetlić zagraniczną politykę rządów niemieckich od 1918 do 1945 r., tj. od końca I wojny światowej aż do II wojny światowej włącznie. Dokonane przez nią uporządkowanie pozwoliło stwierdzić, że ocalała całość archiwów z lat przed 1920 r. W odniesieniu do okresu międzywojennego istnieje sporo braków, natomiast z lat II wojny światowej komisja dysponuje tylko nielicznymi zespołami aktów.

Komisja ta przeznaczyła do natychmiastowego wydania akta dyplomatyczne, obejmujące okres od 1936 r., kierując się większą aktualnością zagadnień związanych z wybuchem II wojny światowej. Pierwsze cztery tomy poświęcone są latom 1936 — 1938, tj. wypadkom od początków wojny domowej w Hiszpanii do Konferencji Monachijskiej włącznie. Z tego ukazało się już trzy tomy: pierwszy zawiera materiały o stosunkach III Rzeszy z wielkimi mocarstwami, drugi — o sprawie czechosłowackiej, a trzeci — o wojnie domowej w Hiszpanii. Tom czwarty, obejmujący stosunki rządu hitlerowskiego z mniejszymi państwami, w tym i Polską, podobno jest już w druku. Wydawnictwo ogłaszane jest równolegle w trzech językach: angielskim, niemieckim i francuskim. Posługujemy się wydaniem francuskim nie różniącym się niczym istotnym od tekstu angielskiego i niemieckiego.*)

Wydanie tych dokumentów mogłoby mieć kapitalną wagę w pracach nad polityką zagraniczną tych czasów, gdyby ich dobór i wybór dawał gwarancję jakiej takiej obiektywności. Nie można tego jednak powiedzieć o tym zbiorze. Redaktorzy jego w przedmowie głoszą, iż pozostawiono im całkowicie wolną rękę w pracy wydawniczej i że kierowali się „najwyższą obiektywnością naukową". Jednakże przejrzenie około 1300 ogłoszonych dokumentów przekonuje, że dobrane one zostały niezmiernie tendencyjnie.

W pracach komisji wydawniczej decydującą przewagę mieli historycy amerykańscy, co wyraziło się m. in. w ogłoszeniu najpierw tekstu angielskiego, na którym wzorowane są pozostałe wydania. Potrzeby polityczne propagandy amerykańskiej przeważyły też zupełnie widocznie nad bezstronną skrupulatnością naukową. Chodziło przede wszystkim o to, aby utrzymać czytelnika pod wrażeniem, że polityka mocarstw zachodnich była przed II wojną światową taka, jak ją starano się wówczas przedstawiać na zewnątrz, a więc pozbawiona rzekomo wszelkiego ostrza imperialistycznej agresywności. Cel ten redaktorzy starali się osiągnąć po prostu przez pomijanie dokumentów, które uznali za „niedogodne". Często można to konkretnie sprawdzić, gdy w ogłoszonych tekstach nawiązuje się do innych, nie zamieszczonych w zbiorze. Wtedy redaktorzy stosują przypisek „nie ogłoszono", milcząc wykrętnie czy zaginął on, czy też został opuszczony świadomie.

Czytającemu omawiane trzy tomy rzucają się przede wszystkim w oczy dwie rzeczy: absolutny brak dokumentów, w których, przy stosunkach rządu hitlerowskiego z mocarstwami zachodnimi, występowałby czynnik radziecki oraz nikła ilość dokumentów oświetlających rolę Stanów Zjednoczonych w bardzo ważnych problemach rozgrywających się wówczas w Europie. Są to właśnie dziedziny, w których redaktorzy szeroko zastosowali eliminowanie dokumentów niepożądanych dla propagandy amerykańskiej.

Jak wiadomo, w hierarchii problemów międzynarodowych okresu międzywojennego pierwsze miejsce zajmowało dążenie mocarstw kapitalistycznych do zwalczania Związku Radzieckiego jako czołowego reprezentanta obozu pokoju i demokracji. Przy wciąż trwających silnych rozgrywkach konkurencyjnych wewnątrz obozu imperialistycznego, głównym motywem do szukania wzajemnego porozumienia była chęć stworzenia agresywnego bloku antyradzieckiego, który by usiłował złamać za pomocą siły zbrojnej ustrój socjalistyczny ZSRR. Od Konferencji Wersalskiej poprzez plan Dawesa, Locarno, Pakt Czterech, aż do ugody monachijskiej i rokowań poprzedzających II wojnę światową, jest to nić przewodnia polityki mocarstw europejskich inspirowanej i kierowanej przez USA. Na tym tle zupełnie nieprawdopodobne wydaje się, aby motyw antyradziecki wyraźnie nie występował w aktach niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z lat 1936-1938.

Zresztą bardzo znamienne jest porównanie rozdziału zbioru o stosunkach rządu hitlerowskiego z mocarstwami zachodnimi i z państwami dalekowschodnimi. W odniesieniu do tych ostatnich wydawcy zbioru nie odczuwali potrzeby tego rodzaju „dyskrecji", toteż widać tam wyraźnie, że podstawowym kryterium Wilhelmstrasse, jeśli chodzi o wypadki w Japonii i Chinach, był antyradziecki aspekt tych spraw.

Również nieprawdopodobne jest wrażenie, które starają się wywołać wydawcy zbioru, że Stany Zjednoczone nie interesowały się bliżej takimi ważkimi sprawami europejskimi, jak Anschluss austriacki, wojna domowa w Hiszpanii czy kryzys czechosłowacki. Chroniąc od obalenia fikcję propagandową, że rząd waszyngtoński nie ingerował do spraw politycznych starego kontynentu, redaktorzy wydawnictwa wyłączyli prawie wszystkie raporty ambasady niemieckiej w Waszyngtonie, dotyczące polityki Stanów Zjednoczonych w tych sprawach. Chyba nikt nie uwierzy, że takich raportów nie było i że dyplomacja niemiecka nie interesowała się posunięciami Waszyngtonu w ostrych rozgrywkach między rządem hitlerowskim a Wielką Brytanią i Francją.

CZASAMI można bezpośrednio stwierdzić tendencyjne przemilczenia. Tak np. w jednym z dokumentów niemieckich jest wzmianka, że Roosevelt zdezawuował oświadczenie Bulitta, przy czym redaktorzy powstrzymali się w danym wypadku od podania wszelkich innych materiałów, które by wyjaśniały, o co tu chodziło. Tymczasem była to sprawa bardzo ważna. Podczas największego zaognienia kryzysu czechosłowackiego ambasador amerykański w Paryżu Bulitt wygłosił na jakimś obchodzie okolicznościowym mowę, w której podkreślił sympatię Stanów Zjednoczonych dla Francji, co prasa ówczesna skomentowała natychmiast jako zajęcie przez rząd amerykański stanowiska przeciwko zaborczym zakusom hitlerowców wobec Czechosłowacji. Przez przemilczenie tej sprawy wydawcy chcieli uniknąć jawnego potwierdzenia, że Amerykanie przestrzegali przez usta Roosevelta Francję, aby nie liczyła na jakąkolwiek pomoc, gdyby zechciała wykonać razem ze Związkiem Radzieckim swe zobowiązania sojusznicze wobec Czechosłowacji. W zbiorze prześlizgnął się zresztą raport niemieckiego attaché wojskowego w Waszyngtonie, który w tym samym czasie donosił, że sztab amerykański odnosi się pozytywnie do postulatów niemieckich w sprawie Czechosłowacji i wpływa w tym duchu na politykę rządu waszyngtońskiego.

Pomimo tych przemilczeń i opuszczeń, które powodują ukazywanie polityki międzynarodowej w latach 1936-1938 w krzywym zwierciadle, trzy pierwsze tomy zbioru „Tajne archiwa Wilhelmstrasse" dostarczają wielu ciekawych dokumentów pozwalających na należytą ocenę nie tylko agresywnej polityki hitlerowskiej, ale i uznania udzielanego jej przez rządy Wielkiej Brytanii i Francji. Najplastyczniej wyłania się z nich sprawa wojny domowej w Hiszpanii i kryzys czechosłowacki.

Wydawcy nie mieli żadnych zastrzeżeń co do pełnego ujawnienia pomocy okazywanej przez faszystowskie rządy Niemiec i Włoch kontrrewolucji frankistowskiej. Zasługuje tu na uwagę wyraźne stwierdzenie ze strony obserwatorów niemieckich, że pucz generalski w Hiszpanii był tak słaby i tak pozbawiony wszelkiego oparcia w społeczeństwie, że bez natychmiastowej pomocy z zewnątrz, udzielonej zresztą bezzwłocznie, zostałby w ciągu krótkiego czasu zlikwidowany przez legalny rząd republikański.

Natomiast pomimo wysiłków redaktorów zbioru, mających na celu zatuszowanie właściwego znaczenia tzw. nieinterwencji do spraw Hiszpanii proklamowanej przez Anglię i Francję, zagadnienie to wystąpiło w całej swej wyrazistości. Z dokumentów widzimy, że rządy brytyjski i francuski były zdecydowane nie dopuścić do zwycięstwa sprawy rewolucji w Hiszpanii, lecz obawiały się całkowitego podporządkowania gen. Franco Niemcom hitlerowskim, co zagrażało ich interesom gospodarczym i politycznym. Dlatego stosowały podstępną taktykę zmierzającą do przewlekania wojny domowej przez sztuczne stwarzanie równowagi sił militarnych obu walczących stron, w nadziei, iż w dogodnym momencie będą mogły wystąpić w roli mediatorów dla narzucenia najdogodniejszego dla siebie rozwiązania, a mianowicie stworzenia nowego rządu burżuazyjnego, gotowego przyjąć patronat brytyjski.

Dopiero ugoda monachijska pociągnęła za sobą kompromis brytyjsko-niemiecki na terenie Hiszpanii, ofiarą którego padła sprawa ludowa. Kontrrewolucyjny rząd frankistowski związał się przymierzem z Niemcami hitlerowskimi i przystąpił do paktu antykominternowskiego, ale zagwarantował jednocześnie Wielkiej Brytanii neutralność na wypadek konfliktu zbrojnego między Anglią a III Rzeszą. Franco zapłacił za pomoc w ugruntowaniu swej dyktatorskiej władzy w postaci oddania całej ekonomiki kraju na łup kolonialnego wyzysku ze strony monopolistów niemieckich i brytyjskich. Jak wiadomo, Stany Zjednoczone pogodziły ostatecznie obu zwalczających się na terenie Hiszpanii konkurentów, odbierając po drugiej wojnie światowej przyznane im przez Franco pozycje gospodarcze.

W sprawie czechosłowackiej dokumenty z archiwów niemieckich świadczą, że rząd hitlerowski uważał od początku za najlepsze rozwiązanie zbrojne zaanektowanie Czechosłowacji i natychmiastowe wykonanie tego programu, który musiał jednak rozłożyć na dwa etapy: umowę monachijską i zajęcie Pragi 15 marca 1939 r. I tu w grę wchodziły jednak rozgrywki konkurencyjne wewnątrz obozu imperialistycznego między hitlerowcami a mocarstwami zachodnimi. Te ostatnie bynajmniej nie troszczyły się o ochronę niepodległości Austrii a następnie Czechosłowacji, lecz za zgodę na nabytki hitlerowskie chciały zapłaty w postaci przerzucenia na III Rzeszę całego ciężaru wojny agresywnej ze Związkiem Radzieckim, przy jednoczesnym rezerwowaniu sobie odpowiedniej części w podziale spodziewanego łupu.

Na tym tle toczyła się skomplikowana gra mocarstw imperialistycznych w sprawie czechosłowackiej utrudniana przez stanowisko Związku Radzieckiego broniącego zagrożonej

(Dokończenie na str. 10)

*) „Les Archives secretes de la Wilhelmstrasse". Paris Librairie Plon. Tom I: „De Neutath a Ribbentrop" (septembre 1936 — septembre 1936). 1950, str. 616. Tom II: L'Allemagne et la Tchèchoslovaquie" (1937-1938). 1951, st 636 i tom III „L'Allemagne et la guerre civile Espagnole") 1936-1939), str. 862.

Książki i ludzie

(Dokończenie ze str. 1)

za książkę. To ona pozwoliła z małych okien naszej chaty dostrzec wielki świat i pokazała drogi ku niemu wiodące. A skoro pokazała to i pociągła. Poszli...

— A ty — pytam — czym będziesz?

— Ja — chwilę się namyśla, potem smutnieje lekko — ja także bardzo kocham książki, ale niczym wielkim nie będę. Jestem ostatnia w domu i muszę zostać na gospodarce... Ale — dodaje jeszcze, już ze śmiechem — dobra gospodyni też coś warta. I dobry człowiek też. A ja wyrosnę na dobrą gospodynię i będę dobrym człowiekiem...

— Tak Marysiu — potwierdzam jej zamiary — dobry człowiek to wielka rzecz. I ważna. Ważniejsza nad wszystkie dyplomy, rangi i tytuły...

*

SZCZUPŁA i zwinna brunetka, która rej wodzi w kolumnie kobiet pracujących na polach spółdzielni produkcyjnej w Szczawniku — to Antonina Nowakowa, główna aktywistka kolektywu i jedna z czołowych działaczek kobiecych tego powiatu. A zarazem żarliwy od lat najmłodszych pochłaniacz książek.

Gdy podchodzę ku pracującym kobietom poznaje się z daleka jej charakterystyczny głos. Opowiada, na chwile nawet nie przerywając roboty, dzieje dzielnego lotnika Mieresjewa, bohatera „Opowieści o prawdziwym człowieku" Polewoja. Za chwilę gawędzimy już razem, oczywiście na najbliższy nam temat — o książce.

— Gdy opętana — mówi Nowakowa — tysiącami trudności, jakich nie szczędzi życie młodej spółdzielni pracującej w trudnym górskim terenie, tracę na chwilę zapał, a ręce jak połamane gałęzie zwisają bezsilnie — łapię za książkę. „Zorany ugór" „Świtła w Koordi" czy „Kawaler złotej gwiazdy" — o, to dzieła, którymi leczę upadek sił, które są moją otuchą i nadzieją, które uczą jak walczyć i zwyciężać.

To samo czynię w wypadku, gdy w gronie moich współtowarzyszy dostrzegę te same objawy. Wtedy aplikuję kolegom czy koleżankom zastrzyk książkowy i choroba mija. I z nowym zasobem sił, jeszcze mocniej i śmielej bijemy się o lepsze jutro dla nas, a przede wszystkim dla naszych dzieci.

— O tak, — potakują słuchające kobiety. — Książka to wielka rzecz. Wspaniała i pożyteczna. Zwłaszcza dla tych, którzy walczą o nowy świat i w ciężkim trudzie budują jego fundamenty.

*

SŁOŃCE osuwa się w las zarastający szczyt tamtej góry. Za chwilę będzie noc. Czas odejść. Wracam z gromadą kobiet, z których dwie zachodzi po drodze do Domu Ludowego. Po książki. Bo w złockim domu ludowym tysiąc doborowych dzieł pomaga w ciężkim trudzie tym, którzy na gromadzkim małym podwórku budują wielkie dzieło nowego życia.

Józef Bieniek

Aleksander ROGALSKI

OD FRYDERYKA I DO HITLERA

DYKTATURA armii zaprowadzona w Niemczech przez Fryderyka „Wielkiego" sprawiła, że żadnemu z ruchów liberalnych, jakie w Niemczech budziły się głównie pod wpływem wypadków zagranicznych mimo największych wysiłków nie udało się złamać nadrzędnego stanowiska kasty wojskowej. Głośny antyhitlerowski historyk i pisarz Rudolf Olden w swych „Dziejach wolności w Niemczech"[1]) przypisuje klęskę niemieckich prądów i sił wolnościowych dwom fatalnym okolicznościom. Po pierwsze: między rokiem 1866 a 1933 wszystkie ważne dla Niemiec rozstrzygnięcia zapadły w Prusach. Po drugie: mimo wojska ludowego z okresu wojen ludowych, mimo reform barona von Steina armia pruska w dalszym ciągu pozostała instrumentem władzy w rękach panującej kasty junkierskiej.

Zdaje się jednak, że najgłówniejszym powodem niepowodzeń ruchów liberalnych w Niemczech była ich anemiczność. Sam Olden wspomina w związku z parlamentem frankfurckim w r. 1848 o teoretyzowaniu profesorów, które miało zapoczątkować epokę wolności w Niemczech. Ten rodzaj „rewolucji" nie mógł stanowić żadnej przeszkody dla zdyscyplinowanej armii pruskiej. W zamieszkach berlińskich strzelali żołnierze bez drgnienia powiek do swoich braci, synów i przyjaciół. „Wyglądało na to — zauważa Olden — jakby ten sam człowiek posiadał dwie dusze: jako obywatel i wyborca był liberalny, demokratyczny i rewolucyjny, powołany zaś do armii spełniał rozkazy dyktowane interesami królewskiej autokracji".

Rewolucja francuska z r. 1789 nie dostarczyła niemieckiemu mieszczaństwu żadnej pobudki ni podniety do pozbycia się arystokratycznych, feudalnych władców. Zapędy rewolucyjne burżuazji niemieckiej przejawiły się wówczas jedynie w filozoficznym idealizmie. Nowa fala rewolucji pojawiła się w r. 1848, ale niemiecki mieszczanin znowu zachował się jak poddany. A miał on mimo istnienia potężnej armii duże szanse powodzenia. Gospodarczo-przemysłowy rozwój Europy wzmocnił również pozycje mieszczaństwa niemieckiego, a wrzenia wolnościowe na Zachodzie poważnie zachwiały władzą klanu panującego. Nie znajdował on już potężnych sojuszników za granicą, bo ci byli sami w opałach. Zdawali sobie z tego dobrze sprawę rzecznicy ucisku i feudalizmu, dlatego gotowi byli iść na najdalsze nawet ustępstwa. Nawet parlament pruski ożywiony był na moment duchem wolnościowym i zdawało się, że wybory do Narodowego Zgromadzenia we Frankfurcie staną się dla Niemiec tym, czym było dla Francji zdobycie Bastylii. Do tego jednak nie doszło. W decydującej chwili mieszczaństwo nie zdobyło się na energiczniejsze kroki i rozstrzygnięcia, nie umiało wyzwolić się z nieprzepartego uroku władzy arystokratycznej. W rezultacie nastąpił znany bieg wypadków: skoro już raz groźbę rewolucji udało się zażegnać, rozpoczęto z zemsty za doznany strach stosować represje względem nieszczęsnych rewolucjonistów, wolne parlamenty przepędzono, konstytucje cofnięto lub zrewidowano, ideologów frankfurckich wyszydzono jako zdziecinniałych profesorów, radząc im nauczyć się rozumu w szkole pruskiego leutnanta. Wyjątkowa okazja stworzenia państwa narodowego od dołu, tak jak we Francji — została zmarnowana. „Państwo zwierzchnicze" umacnia się w siodle i zmierza w szybkim tempie ku absolutyzmowi.

„Wyraźniej i bardziej znacząco nie mogła wystąpić polityczna klęska klasy mieszczańskiej — pisze Niekisch[2]) — niż w tym biegu rzeczy. Kwestia niemiecka stała się sprawą Prus, liberalizm skazany został na niemoc, demokratyzm (o ile istniał jeszcze nadal w południowych Niemczech w sekciarskich kołach mieszczańskich) stał się polityczną formą walki klasy robotniczej. Mieszczaństwo, które przegrało rewolucję 1848 r., zapadło po swej klęsce całkowicie w polityczną nicość".

Wtedy przyszedł czas na dzieło Bismarcka. On doprowadził do finezji cynizm polityczny Fryderyka „Wielkiego" i jego politykę bezpośredniego sukcesu, która zresztą okazała się później nader zgubna zarówno dla niego, jak i dla jego godnego następcy, Hitlera. Dodał do tego swoją genialną umiejętność żonglera, improwizatora, szarlatana, swoją bezwzględność i potężną wolę.

W siedmiu czy ośmiu latach stworzył z Niemiec jednolite państwo, co wielu wydawało się celem nieosiągalnym. Jedność ta była narzucona z góry i była pruska. Ten marchijski junkier, Prusak z urodzenia i usposobienia nie dążył do niczego innego, jak tylko do zdobycia dla swego pruskiego państwa, dla monarchii Hohenzollernów, hegemonii w Niemczech, a poprzez Niemcy hegemonii w Europie. Jedno udało mu się całkowicie, drugie z dużym powodzeniem.

Najpierw wbrew woli przedstawicielstwa narodowego oraz łamiąc konstytucję dokonał reorganizacji armii pruskiej. A gdy pokonał odizolowaną Austrię i jej przyjaciół, a niebawem i Francję Napoleona III, powiększył terytorialnie Prusy i założył Rzeszę niemiecką. A choć w miejsce rewolucyjnych bohaterów ludowych wystąpili teraz generałowie, w miejsce ruchu rewolucyjnego, wychodzącego z ludu pojawiła się wojna z państwami obcymi, w miejsce układów zjednoczonych partii politycznych — układy suwerennych książąt związkowych, i choć zamiast miasta niemieckiego, np. Frankfurtu n. Menem, kolebką jednolitego państwa niemieckiego stał się Wersal — Bismarck pozyskał sympatię i pełne poparcie ze strony przygniatającej większości liberalnego mieszczaństwa niemieckiego a także, rzecz jasna, konserwatystów. Liberalni profesorowie jak Treitschke i Sybel, którzy jeszcze w r. 1862 ostro krytykowali Bismarcka, przyczyniali się teraz dzięki swej nacjonalistycznej ideologii do scementowania przymierza konserwatystów ze wschodu i narodowych liberałów wielkiej burżuazji zachodu i południa.

Reichstag nie był żadnym parlamentem, lecz, jak go określa Olden, „liściem figowym absolutyzmu". Również prześladowany długie lata przez Bismarcka ruch robotniczy nie potrafił przygotować się do przejęcia na siebie odpowiedzialności politycznej.

Bismarcka spotkał, gdy stał u szczytu powodzenia, ciężki cios: nowy, chciwy władzy cesarz usunął go z areny politycznej. Stworzony przez niego system rządowy doznawał jeszcze za jego życia wielkich wstrząsów. Bismarck był świadom popełnionych przez siebie błędów, przeczuwał katastrofalne skutki swego systemu moralno-politycznego. Tym przewyższał Hitlera.

Trujące następstwa jego działalności uwidoczniły się najlepiej w Trzeciej Rzeszy. Na czym polega związek osobistości i polityki „żelaznego kanclerza" z hitleryzmem?

Foerster[3]) odnosi do Bismarcka znane proroctwo francuskiego pisarza, Edgara Quineta: „Aż do dziś — brzmi najważniejsze miejsce tej wizji — posługiwały się Prusy tylko otwartą walką, decydujący moment przyjdzie dopiero wtedy, gdy przemoc zawrze nikczemny alians z kłamstwem. Dopiero kłamstwo zatruje całą przyszłość". Na tych słowach Quineta opiera Foerster swą analizę osobowości i działalności Bismarcka. Dostrzega w nim wcielenie sześciowiekowej zaborczości pruskiej, połączenie pełnej zaparcia się pracy i niebywałej dyscypliny z nienawiścią, żądzą gwałtu i zniszczenia, bezgraniczną pogardę dla życia ludzkiego, obojętność wobec rzeczywistości historycznej i wobec prawa. Nazywa go przekleństwem Niemiec.

W TYM samym prawie duchu dokonuje oceny Bismarcka z dzisiejszej już perspektywy dziejowej antyhitlerowiec, historyk prof. Josef Antz[4]). Stwierdza on, że Bismarck przyczynił się do zdziczenia obyczajów politycznych w Niemczech. Od Bismarcka datuje się typowo pruski zwyczaj traktowania przeciwników pobitych i osobistych jako wrogów narodu i państwa. Polityka „krwi i żelaza" i jej wielkie sukcesy całkowicie zmilitaryzowały myślenie polityczne warstw wykształconych. „Większość narodu niemieckiego — mówi trzeźwy i mądry obserwator Friedrich Curtius, mając na myśli tylko większość mieszczańsko-liberalną i warstwy konserwatywne — z całą świadomością pragnęła we wszystkich szczegółach i myśleć, i czuć po bismarckowsku. Światopogląd żołnierza zawodowego, lekceważenie idei, uwielbienie gwałtu, umiłowanie wojny i pogarda dla idei pokojowych zdobyły panowanie nad opinią publiczną. Instytucja oficerów rezerwy stawała się coraz bardziej środkiem kształtowania się ducha narodowego. Młodzież z zawodów akademickich, nauczyciele gimnazjalni, prawnicy, profesorowie, lekarze, księża, a także kupcy, technicy i przemysłowcy dążyli do tego, by okazać się równie wartościowymi co oficerowie zawodowi, nie tylko w dziedzinie sprawności i osiągnięć wojskowych, lecz także w kategoryczności sądu w kwestiach, nie mających nic wspólnego ze służbą wojskową".

Choć nawet Bismarck skarżył się na brak odwagi cywilnej u Niemców, trudno by mu było pojąć, w jakim stopniu on sam właśnie przyczynił się swoją walką z ludźmi, którzy mieli odwagę inaczej myśleć niż on, do pogłębienia tej cechy kapitalistycznych Niemców. Bismarck jest właściwym założycielem pruskiego i niemieckiego militaryzmu cywilnego — stwierdza Antz — ponieważ sam był politykiem dyktatorskim i autokratycznym, trzymającym warstwy mieszczańskie jak najdalej od odpowiedzialnej, samodzielnej działalności. Dążenia i ambicje tych ostatnich kierował ku zdobyciu jak największej ilości pieniędzy. Polityka i rządy państwem to był wyłączny przywilej wschodnio-łabskich junkrów, szlachty i wojskowych. Ta rzecz pociągnęła za sobą fatalne skutki. Bismarck świadomie przeszkadzał, jako nawskroś pruski junkier, powstaniu państwa narodowego od dołu. Sprzeciwiał się w dziedzinie gospodarczej, a częściowo nawet w parlamentarno-politycznej narodowemu liberalizmowi, walczył z niemiecką demokracją, występował przeciwko samorządowi narodowemu, tradycjom uniwersalistycznym przeciwstawiał królewską dyktaturę pruską.

Najfatalniejszy jednak i najcięższy w skutkach wkład Bismarcka w dzieje Niemiec polegał na całkowitym przekreśleniu wewnętrznego związku polityki z etyką. Znamienne jest przy tym, że Bismarck, który pozostawał pod wpływem pietystycznie usposobionych kół szlachty pomorskiej, był pobożnym luteraninem. Religijność ta była jednak sprawą najzupełniej osobistą. Etyce chrześcijańskiej nie zapewniała żadnego wpływu na działalność polityczną. W dziedzinie myśli politycznej nie kierował się on ideą prawa, lecz kategoriami siły, pożytku i skuteczności. Gdy w roku 1866 Hanower w proteście swym przeciwko aneksji powoływał się na zasady prawne, Bismarck oświadczył: „Idzie o interesy Prus, a w takim wypadku nie uznaję żadnego prawa". Na zarzut zaś monarchistów i konserwatystów, że w walce z Austrią związał się z włoskimi rewolucjonistami, odpowiedział: „Gdy chodzi o bezpieczeństwo państwa, będę paktował nawet z samym diabłem w piekle".

Otóż ta junkierska strona istoty Bismarcka, wyrażająca się w głoszeniu polityki „krwi i żelaza", siły i pożytku oraz w jego bucie, wywołała największe wrażenie na jego współczesnych i na następnych pokoleniach. Dzięki niej stał się on wzorem polityka i najwyższym autorytetem dla wszystkich politycznie uświadomionych, a reakcyjnych warstw społeczeństwa niemieckiego. Do dobrego tonu należało w polityce oświadczać, że postępuje się według zasady: „Siła idzie przed prawem". Zasada ta w prostej linii doprowadziła do hołdowania zasadzie hitlerowskiej: Prawem jest to, co służy „narodowi" niemieckiemu. Bismarck przyczynił się w ten sposób do zupełnego wyeliminowania klasy mieszczańskiej jako samodzielnego, pełnego poczucia odpowiedzialności czynnika politycznego, co pogłębiało przepaść między narodem niemieckim a Europą i światem i co powiodło go ostatecznie ku katastrofie.

Bismarck i jego dzieło, oraz rzeczywistość przez niego stworzona mieszczą w sobie właściwie wszystkie historyczno-polityczne elementy późniejszego rozwoju wypadków. Pangermanizm, będący ideologią najzamożniejszej burżuazji, w połączeniu z antysemityz-

(Dokończenie na str. 8).

[1]) Ernst Niekisch: „Deutsche Daseinsverfehlung", Berlin 1946, str. 51-52.

[2]) Friedrich Wilhelm Foerster: „Europa und die deutsche Frage". II wyd. Lucerna 1937, str 242-5.

[3]) Josef Antz: „Bismarck und seine Wirkung auf das deutsche Volk". Frankfurter Hefte, nr 1/1947.

[4]) Cytuje za artykułem E. Bramsteda: „Die Libertat hinter den Bajonetten; za R. Olden: „Geschichte der Freiheit in Deutschland" Kölnische Rundschau 4,2. 1947

Nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka po raz szósty

Jury

w składzie:

dr. Stefania Skwarczyńska, prof. Uniwersytetu Łódzkiego — przewodnicząca
ks. dr Seweryn Kowalski, prof. Uniwersytetu Warszawskiego
ks. dr Kazimierz Kłósak, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego
Antoni Gołubiew
Jan Dobraczyński
Zygmunt Lichniak
Teresa Englert

przyznało na rok 1953

I. nagrodę w dziedzinie twórczości naukowej — w wys. zł. 7.000. —

PROF. DR ADAMOWI CZYŻEWICZOWI

za całokształt działalności naukowej i trud życia poświęconego obronie nienarodzonych.

II. nagrodę w dziedzinie twórczości artystycznej — w wys. zł. 6.000. —

ZOFII TRZCIŃSKIEJ — KAMIŃSKIEJ

za całokształt twórczości artystycznej oraz wkład w dzieło podniesienia poziomu plastyki religijnej.

III. w dziedzinie twórczości publicystycznej dwie nagrody — po zł. 4.000. —

JANINIE KOLENDO

za publicystykę w dziedzinie zagadnień społecznych na gruncie etyki katolickiej

WŁODZIMIERZOWI WNUKOWI

za tom reportaży pt. „Wiosna nad Motławą" ukazujących dzieło odbudowy i rozbudowy Wybrzeża polskiego w latach 1945 — 1950. Jednocześnie Jury wyróżniło artykuły, które ukazały się ostatnio na łamach „Słowa Powszechnego" na temat stosunku katolika do spółdzielczości produkcyjnej napisane przez:

1. KSIĘDZA DR WACŁAWA RADOSZA

2. KSIĘDZA ALFONSA SARRACHA

3. KSIĘDZA MIECZYSŁAWA SUWAŁĘ

IV. Nagrodę młodych — w wys. zł. 3.000. —

JERZEMU KRZYSZTONIOWI — stud. Kat. Uniw. Lub. za tom „Opowiadań Indyjskich".

Zbigniew KUTHAN

SZUI-HU-CZUAN

GDY w toku swej przed rokiem wygłoszonej w Pen Clubie prelekcji pt. „Blaski i nędze przekładów z języka chińskiego" — prof. Uniwersytetu Warszawskiego dr Witold Jabłoński wspomniał o pracach nad wydaniem pierwszego w Polsce tłumaczenia powieści chińskiej, wiele zapytań i krytycznych uwag wywołała wzmianka — iż książka opublikowana będzie nie w pełnym swym tekście, lecz w wyborze.

Obecnie, gdy „Opowieści znad brzegów rzek" znalazły się już w sprzedaży księgarskiej, poznanie utworu pozwala sądzić, iż wydawcy postąpili jednak słusznie; pełny tekst, liczący ok. 1300 stron druku odstraszyłby swą objętością większość czytelników, skazał pośrednio książkę na pogrzebanie w magazynach i zmienił w pozycję bibliograficzną — znaczącą coś tylko dla specjalistów.

Tymczasem dokonana przez edytorów w omawianym przypadku kondensacja dała w efekcie łatwo przyswajalny wybór najbardziej typowych rozdziałów i fragmentów powieści, całkowicie spełniający swe zadanie „wprowadzenia" w literaturę chińską.

Uprawnienie osób za książkę odpowiedzialnych do pominięcia pewnych części utworu wynika zresztą w znacznym stopniu z tzw. „skrzynkowej" czy „pudełkowej" kompozycji powieści, która zasadza się nie na konsekwentnym rozwijaniu jakiejś jednolitej akcji, lecz wysnuwaniu z zupełnie przypadkowego punktu — szeregu opowieści podrzędnych, wynikających jedna z drugiej, jakby przekazywanych z rąk do rąk — a mogących stanowić osobne segmenty narracyjne. Całość natomiast dzieła porównać można do rozległego labiryntu, którego korytarze czasem długo błąkają się samoistnie, czasem uporczywie między sobą przeplatają, zaś niekiedy zamyka je prostopadła ściana — a to gdy napotka się na urywające nagle bieg opowiadania zdanie — „i o tym już więcej mówić nie będziemy..."

„Szui-hu-czuan" czyli „Opowieści znad brzegów rzek" (w „Wielkiej Literaturze" Trzaski użyto tytułu „Historia wybrzeży rzecznych"; podobnie W. Grube w „Geschichte d. Chineschischen Lit." — „Die Geschichte des Flussufers") datowane są co do swego powstania na XIII wiek po nar. Chr., zaś spisane zdarzenia należy cofnąć jeszcze o dwa stulecia. Autorstwo dzieła nie jest wyraźnie określone; powieść jako rodzaj literacki nie była w Chinach szanowana, zaś wędrując od ust do ust ulegała poszerzeniom i przekształceniom przez doraźnych opowiadaczy.

Tematem książki są dzieje „Drużyny Sprawiedliwych Zbójców", która w miarę swego rozrostu zdobyła faktyczne władztwo nad dwiema z 26 prowincji cesarstwa, zaś okoliczności towarzyszące delegalizacji poszczególnych członków bandy unaoczniają całokształt ówczesnych stosunków społecznych.

Samowola i lichota moralna wysokich urzędników, dysponujących precyzyjnym aparatem administracyjnym i nadużywających go dla swej osobistej korzyści, są najczęstszą przyczyną nakłaniającą energiczniejsze jednostki do łamania prawa. Rzecz inna, że działalność szajki — przynosząca jej członkom niezależność i swobodę — stanowi jeszcze jeden ciężar dla ogółu ludności, nazbyt sterroryzowanego i biernego, by się buntował. Zdobywaniu miast dla odbicia pochwyconych przez władze zbójców towarzyszy nieodłącznie podpalanie domów i rzeź bezbronnych mieszkańców. Podobnie karne ekspedycje wojsk rządowych nie szkodząc w rezultacie zbójcom, rujnują doszczętnie spokojnych wieśniaków. Najwięcej zatem współczucia budzi milczący ale wszechobecny — istotny bohater powieści — wyzyskiwany chiński lud.

Z tym samym brakiem skrupułów szajka werbuje sobie nowych towarzyszy, zwłaszcza spośród ludzi, których umiejętności mogą być drużynie przydatne. „Werbunek" taki przeprowadzany był albo po prostu przez porwanie — czasem razem z rodziną, aby odjąć pobudkę do ucieczki — bądź też przez takie skompromitowanie kogoś w oczach władz, że akces do Drużyny był dlań jedynym wyjściem.

Jeśli sama koncepcja „szlachetnego rozbójnictwa" znajduje swój wyraźny odpowiednik w literaturze europejskiej (i wywodząc się z romansu rycerskiego przez powieść szelmowską degeneruje się ostatecznie w brukowych przygodach gentlemana-włamywacza), to jednak są zasadnicze różnice w potraktowaniu zagadnienia: w Szui-hu-czuanie niezmiernie wyraźnie przejawia się ambitny realizm oddający rzeczywisty obraz swojej epoki. Toteż zrozumiały staje się fakt, iż strwożony i obrażony prawdą o sobie samym rząd cesarski zarządził prohibowanie dzieła.

XI-o wieczne Chiny były krajem ustrojowo zgrzybiałym, którego skąd inąd mądre i precyzyjne ustawodawstwo przestało być czynnikiem ładu i praworządności i na skutek biurokratycznego skostnienia poczęło się przeradzać w rękach tchórzliwej i sprzedajnej arystokracji urzędniczej w instrument ucisku. Przedstawiony został w książce ze wszystkimi szczegółami ceremoniał postępowania prawnego, celebrowanego z kazuistyczną pedanterią; gdy np. Sung Ciang ukrywa się po dokonanym zabójstwie, władze usiłując zastosować coś w rodzaju „odpowiedzialności rodzinnej" —zamierzają uwięzić jego ojca. Ten jednak przedkłada odpowiednik notarialnego oświadczenia, jakoby sporządzonego przed laty, w którym wyrzekł się syna i całkowicie odeń „odciął". Oświadczenie to jest oczywiście sporządzone bieżąco, pod naciskiem potrzeby, i antydatowane. Lecz prowadzący śledztwo urzędnicy, niechętnie spełniając narzuconą im czynność, choć domyślają się mistyfikacji, honorują jednak dokument, którego odpis stanowić będzie dla nich „podkładkę" — iż dokonali wszystkiego, co mogli.

Poziom kultury umysłowej doskonale charakteryzują apoftegmaty, którymi posługują się w dyskusjach postacie działające, lub wtrącone przez narratora jako ilustracja omawianej sytuacji; przebłyskuje z nich stara mądrość narodu, pełna ostrożnego relatywizmu i sceptycznej trzeźwości życiowej.

Znajduje też swe odbicie w utworze swoista dyskryminacja kobiety chińskiej, istoty wymienianej tylko z nazwy, jak przedmiot. Aby stać się postacią współrzędną, musi być przynajmniej krnąbrną konkubiną lub wiarołomną żoną.

Osobliwie kontrastują z dominującym w „Opowieściach znad brzegów rzek" obrazem konkretnych warunków bytowych występujące gdzie niegdzie motywy fantastyczne. Owa zdobnicza, ornamentacyjna funkcja zjawisk irracjonalnych przejawia się faktem, iż nie odgrywają one zwrotnej i decydującej roli w opisywanych zdarzeniach. Wszelka cudowność jest zresztą następstwem jakby specjalnego kunsztu, rzadszej i specjalniejszej od innych umiejętności, budzi podziw lub przestrach — lecz bez moralnego wstrząsu i jego oczyszczających następstw.

Gdy np. Li Kuei postanawia zabić „świętego Lo", to czyn jego wygląda w ten sposób, że w starciu brutalnej siły i wysokiego stopnia wtajemniczenia mistrza — zwycięża Lo, jako dysponujący skuteczniejszymi środkami. Podobnie, gdy Li Kuej spada z nieba między ludzi — zostaje po prostu wtrącony do więzienia, gdyż potraktowano go jako słabego czarownika. Poglądy takie mogą być konsekwentnym wynikiem układu stosunków społecznych; wszechstronnie rozbudowany aparat państwowy, wysoki poziom techniki urabiają racjonalistycznie myśl ludzką, tak iż nawet wierzenia i przesądy nie odchylają się od norm codziennego życia ziemskiego.

Humor książki koncentruje się do koła postaci zuchwałych awanturników, nieuków i opilców, jak Lu Czy szen czy Li Kuei — sylwetek nieodzownych w powieści szelmowskiej. Swoisty rozmach, z jakim kreśleni są ci brutalni gwałtownicy, sprawia, iż należą oni do najplastyczniejszych figur dzieła, gdyż ich agresywna, prostacka żywotność dodatnio wyróżnia się na jednolitym na ogół tle konwencjonalnej „chińskiej" grzeczności ogółu bohaterów.

Do najpiękniejszych kart książki należy scena, gdy Sung Ciang podczas samotnego posiłku w gospodzie pisze na jej ścianie buntowniczy wiersz przeciw panującej dynastii. Osobliwy urok opisu mieści się chyba w tym, że choć poszczególne elementy obrazowanej sytuacji są czytającemu obce — znów za sprawą odrębności miejsca i epoki — to jednak dla uczuć bohatera może on łatwo znaleźć odpowiednik z kategorii własnych doznań. I taka reakcja uczuciowa jest najlepszym dowodem komunikatywności dzieła, które w narodowej, tradycyjnej formie wyraziło ogólnoludzkie treści.

Warto przy sposobności wspomnieć, że Mao Tse-tung w swej rozprawie „W sprawie sprzeczności" powołuje się właśnie na „Szui-hu-czuan" jako „powieść... która zawiera wiele przykładów zastosowania dialekty-

(Dokończenie na str. 11)

„Opowieści znad brzegów rzek" tyt. oryg. chińskiego — „Szui-hu-czuan", tłumaczyła z jęz. ang. Eleonora Romanowicz, wybór i przedmowa — prof. Witolda Jabłońskiego. Czytelnik 1952, str. 438, cena 16,50.

Ze starych ksiąg chińskich

NA początku umieszczamy pieśń błazna. Ten błazen z krainy Tszu towarzyszył wędrówkom Konfucjusza. Biegł on za jego wozem i śpiewał. Mędrcowi Północy, jego trzeźwej zadumie — przeciwstawiał żale i nastrojowe zadumy Południa. Jest to drobny odłamek prastarej chińskiej kultury ludowej.

Według Liang K'i Tszae Północ i Południe — to dwa konieczne bieguny cywilizacji chińskiej. To: realizm i idealizm, uznanie dla zbiorowości ludzkiej i ucieczka do pustelni, pasjonowanie się polityką i pasjonowanie się spekulacją, wiara w doświadczenie i wiara w natchnioną działalność, konserwatyzm i radykalizm itd. Konfucjusz reprezentuje Północ, Laotse Południe.

Zamieszczamy przekład wiersza z Konfucjuszowej K s i ę g i w ę d r ó w e k. Ta księga poetycka to budowla niezwykle kunsztowna. Z liczbowych kombinacji na tle podziału świata rzeczy na formę, nazwę, właściwość i obraz wynika, że w 64 rozdziałach można opisać 4096 różnych sytuacji. Konfucjusz jest przede wszystkim nauczycielem. Mistrzowsko włada aforyzmem, gnomem, przypowieścią. Zawsze jest mądrym, przezornym, doskonałym znawcą życia i ludzi. W kilkanaście lat po jego śmierci uczniowie: Yu Jo Tseng Szen i Min Tsi K'ien spisali rozmowy z mistrzem. W ten sposób powstała K s i ę g a r o z m ó w złożona z 20 rozdziałów. Dajemy urywki z paru ksiąg.

Wreszcie Laotse, autor wspaniałej księgi T a o t e k i n g. Są tu wyżyny poezji chińskiej. Boleśnie została podkreślona niewspółmierność dążeń ludzkich z rzeczywistością. Dajemy przekład fragmentu z rozdziału 20-ego. (Przekłady dokonane z przekładów niemieckich.)

PIEŚŃ BŁAZNA

Feniks, Feniks...
Smutek zwiększa się co dzień
Przyszłość nie nadchodzi.
Wszystko przemija.
Świat miałby sens
pod ręką świętego.
Święty się ukrywa
przed bezsensem jego.
Dzień z dnia się przędzie
w obawie i błędzie.
Szczęście jest lekkie jak pióro,
nikt go nie pochwyci.
Ból jest ciężki, jak ziemia,
nikt go nie obejdzie.
Nigdy, o, nigdy
nikt go nie podzieli.
Krokiem dotykasz
przepaści — najśmielej.
Ciernie, o, ciernie
nie wstrzymujcie biegu.
Błąd i szaleństwo!
Nie żyć nam bez niego!.

Konfucjusz

Z KSIĘGI WĘDRÓWEK

W wężowych wije się splotach szlak życia u stóp męża,
czasem hamuje bieg jego, czasem go rozpręża.
Tutaj obfitość treści wylewa się przez słowa,
tam ciężar wiedzy głębokiej w milczeniu głuchym się chowa.
Gdzie dwaj mężowie zgodni — nie dotknie serc uraza
i wspólnie złamią opór śpiżu i żelaza.
Gdzie dwaj mężowie w zgodzie doświadczają swych kolei:
ich słowa mocne i słodkie jak zapach orchidei.

Yu Jo, Tsengszei i Min Tsi K'ien

Z KSIĘGI ROZMÓW

Z rozdz. 2

Mistrz rzecze: „Gdy miałem lat piętnaście, wola moja oparła się na nauce. Trzydziestka ją umocniła. Czterdziestka pokonała zwątpienie. Pięćdziesiątka objawiła mi niebo. Sześćdziesiątka otworzyła mi uszy. W siedemdziesiątce mogłem pobłażać pragnieniom serca bez obawy, że przebiorę miarę".

Z rozdz. 6

Mistrz rzecze: „Uczony raduje się nad wodą, pobożny raduje się na wzgórzu. Uczony jest ruchliwy, pobożny jest spokojny. Uczony ma wielu przyjaciół, pobożny ma długie życie".

Z rozdz. 11

Młodzieńcy Tsi Lu, Tseng Tien, Jan Kiu i Kung Si Tszi siedzieli razem z mistrzem. Mistrz rzecze: „Nikt nas nie zna. Gdyby was władca powołał teraz, co byście uczynili?" Tsi Lu odpowiada niezwłocznie: „Gdyby to było państwo o tysiącu wojennych pojazdów, wciśnięte między potężne państwa sąsiednie i przez to okrążone wielkimi wojskami i pozbawione żywności, to w ciągu trzech lat chciałbym je rozszerzyć, żeby naród poczuł własną dzielność i poznał swój obowiązek". Mistrz się roześmiał.

„A ty, Kiu, co powiesz?" Jan Kiu odpowiedział: „Gdybym miał rządzić państwem rozległym na 60 do 70 mil kwadratowych lub lepiej na 50 do 60, to jako cel postawiłbym sobie tak je w ciągu trzech lat umocnić, żeby naród zadowolić. Pielęgnowanie kultury i sztuki przekazałbym najlepszemu mężowi po sobie",

„Cóż powiesz na to Tszi?" Kung Si Tszi odpowiedział: „Nie mówię nic o tym, co już poznałem, lecz chciałbym się uczyć: w świątyni przodków króla, na przyjęciach króla w birecie i w szatach godowych — chciałbym służyć jako najniższy pomocnik. Oto moje pragnienie".

„Cóż powiesz na to Tien?" Tseng Tien nie przerywał gry na lutni, pozwolił dogasnąć ostatnim dźwiękom i wtedy lutnię odłożył na bok. Wstał i powiedział: „Ach, moje pragnienia są zupełnie inne niż plany trzech moich przyjaciół". Mistrz rzecze: „I cóż to szkodzi? Każdy powinien wyjawić pragnienie swego serca". Wtedy młodzieniec odrzekł: „Chciałbym późną wiosną, gdy wdziewa się najlżejszy ubiór wiosenny, kąpać się w strumieniu, w gronie pięciu lub sześciu dorosłych przyjaciół i pary chłopiąt, potem w gaju świętym używać rzeźwego chłodu. Śpiewalibyśmy pieśń wspólną i z tą pieśnią wracalibyśmy do domu".

Mistrz westchnął i rzecze: „Jestem po twojej stronie".

Laotse

T A O T E K I N G

Z rozdz. 20

Co ludzie szanują, trzeba szanować.
O, samotności, jak ty długo trwasz!
Wszyscy ludzie promienni,
jak podczas wielkiej ofiary,
jakby wstępowali na wieżę z powitaniem wiosny.
Tylko ja się ociągam, dla mnie nie ma znaków,
jak dla niemowlęcia, co śmiać się nie umie.
Niepokój mnie pędzi,
Jakbym nie miał Ojczyzny.
Wszyscy ludzie żyją w obfitości,
tylko ja opuszczony.
Istotnie posiadam serce szaleńca
obłąkane i ciemne.
Ludzie na świecie są jaśni, tak jaśni,
tylko ja posępny, tak posępny.
Ludzie na świecie mądrzy, tak mądrzy,
tylko ja w sobie zamknięty
i niespokojny, jak morze.
Wszyscy ludzie coś robią,
tylko ja jestem leniwy, jak żebrak,
inny od wszystkich ludzi:
lecz ja poznałem wartość Żywiącej Matki.

przełożył Jan Górski

Marian RADAWIAK

Gdy człowiek jest przezroczysty

WIADOMO, że człowiek jest przezroczysty, gdy się znajduje pod wiązką promieni X, czyli promieni Roentgena. Liczne krążące na ten temat dowcipy zdają się wskazywać, że laik na ogół przecenia przenikliwość i wszechwiedzę owych tajemniczych promieni. Dlatego może nie od rzeczy będzie uczynić na wstępie takie zastrzeżenie: człowiek jest przezroczysty dla promieni X o tyle tylko, o ile tego sam pragnie.

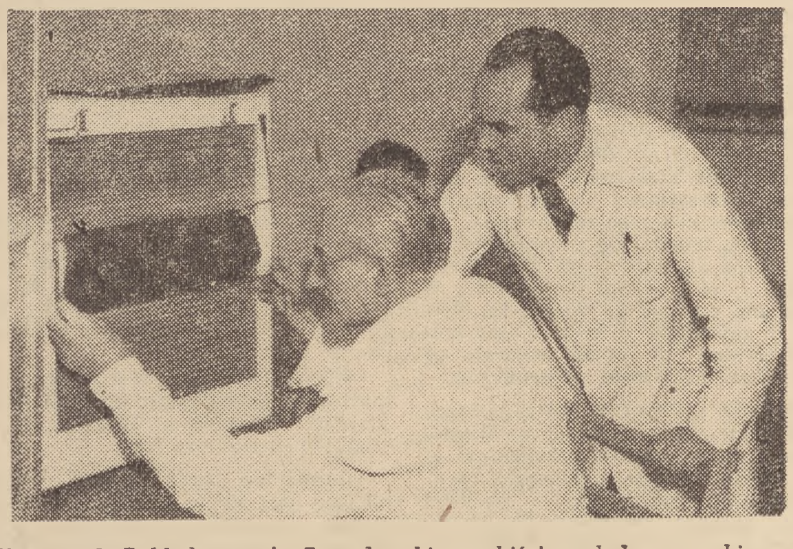

Kierownik Zakładu, prof. Zawadowski, osobiście ogląda wszystkie trudniejsze przypadki

Cum grano salis, rzecz jasna. Nie pragnę bowiem wygłaszać herezji w fizyce ani się popisywać humorem wątpliwej klasy. Pragnę natomiast zaakcentować arcyważki moment zaufania i szczerości względem lekarza. Nie łudźmy się, że rentgenolog postawi nam właściwą diagnozę, jeżeli nie dopomożemy mu w tym sami. Nie łudźmy się, jak się łudzi większość pacjentów domagających się od rejonowego doktora, żeby ich skierował do rentgena koniecznie, bo o n i uważają, że tak trzeba. Rentgen nie jest jakimś wygodnym automatem, z którego za wrzuceniem opłaty wyskakuje nieomylne rozpoznanie. Jest natomiast w przeważającej ilości wypadków jedynie badaniem pomocniczym, a nawet ściślej: jednym z badań pomocniczych, które w zestawieniu z badaniem krwi, badaniem moczu, badaniem ciśnienia, badaniem treści żołądkowej i wielu, bardzo wielu innymi badaniami może, przy maksymalnym wysiłku i dobrej woli lekarza i pacjenta, dopomóc w postawieniu diagnozy.

Piszę reportaż z Zakładu Radiologii Lekarskiej Akademii Medycznej w Warszawie. Radiologia lekarska dzieli się na dwa zasadnicze działy: radowy i rentgenowski. Tylko o tym drugim będę pisać, ponieważ Zakład Radiologiczny przy ul. Chałubińskiego 5 nie zajmuje się terapią radową, która wchodzi w zakres działania instytutu onkologii.

Rentgen posiada dwojakie znaczenie lekarskie: diagnostyczne i terapeutyczne. Zaraz na wstępie mojej reporterskiej wizyty kierownik Zakładu prof. Zawadowski proponuje mi, żebym był obecny przy prześwietleniach.

Ależ to dla dziennikarza gratka! Nie daję się długo prosić. Wielki zaciemniony pokój. Jego rozmiary, jego materiał budulcowy — wszystko jest określone przepisami prawnymi. Chodzi o to, że promienie X są niekorzystne dla zdrowia. Ale najpierw kilka słów o samych promieniach:

Promienie X wytwarzane w lampie rentgenowskiej należą do rzędu fal elektromagnetycznych. W widmie falowym, zapoczątkowanym przez fale radiowe długości kilometrów i metrów a kończącym się na promieniach kosmicznych długości ułamka angstroma — promienie rentgena zajmują miejsce między promieniowaniem ultrafiołkowym a promieniowaniem gamma i posiadają długość fali od 120 — 1 angstroma (jeden angstrom = 1/10 mi' romilimetra). Owe króciutkie promienie, krótsze znacznie od światła widzialnego, posiadają własność dość swobodnego przenikania przez substancję organiczną a nawet przez metal. Dopiero grube warstwy najgęstszych metali stanowią prawie zupełną dla nich zaporę.

Ochrona zaś jest potrzebna dlatego, że promienie uszkadzają tkanki. Oparzenia nimi wywołane powodują schorzenia zbliżone do nowotworowych i bardzo oporne leczeniu. Przy zastosowaniu nowoczesnych filtrów takie oparzenia należą do bardzo rzadkich wypadków. Niezależnie jednak od niebezpieczeństwa oparzeń występują u ludzi stykających się stale z promieniami zmiany inne, powoli działające, ale również szkodliwe. Te zmiany tyczą głównie tkanek gruczołowych, rogówki oka i krwi.

Toteż rentgenolog ubiera się do pracy w specjalny fartuch i rękawice z gumy ołowiowej. Kiedy przez ciało pacjenta przechodzi wiązka promieni, wówczas rentgenolog... nie widzi nic; albowiem promienie są niewidoczne dla oka. Zaradzamy temu umieszczając między badającym a obiektem ekran pokryty materiałem fluoryzującym pod wpływem promieni.

Wówczas diagnosta dostrzega na ekranie zarysy najbardziej gęstych, najbardziej pochłaniających promienie tkanek — zarysy kości. Ale, jeżeli chce zobaczyć np. żołądek? Jama brzuszna rysuje się na ekranie ciemną, prawie jednolitą plamą. Ale *est modus in rebus*. Aby ujrzeć żołądek należy wypełnić go metalem. Do tego służy papka ze sproszkowanego siarczanu baru, którą pacjent spożywa.

Teraz już widzimy wszystko dokładnie. Na zielonkawym ekranie rysują się ściany żołądka, ruchome, podatne, obkurczające się wokół treści barowej, podające ją odźwiernikowi, dalej opuszce dwunastniczej, dalej dwunastnicy i pętlom jelita cienkiego.

— Czy ta wypukłość — to wrzód? pytam lekarza tak cicho, żeby pacjent nie słyszał.

— Nie, to tylko fala perystaltyczna, odpowiada lekarz. O widzi pan — już znikła. Nyża wrzodowa by została.

— Bardzo żywe są te ruchy perystaltyczne.

— Tak, może trochę za żywe, co może przemawiać za nerwicą.

— A jeżeli schorzenie tkwi w dalszych odcinkach przewodu pokarmowego, do których kontrast jeszcze nie dotarł?

— Dlatego przewód pokarmowy prześwietlamy często kilkakrotnie, np. po kilku minutach i kilku a nawet parunastu godzinach.

— Czy prześwietlenie przewodu pokarmowego mówi nam tylko o obecności względnie nieobecności choroby wrzodowej?

— Mówi nam znacznie więcej. Rozpoznajemy opuszczenie trzewi, nieprawidłowości anatomiczne, stany kataralne, no i przede wszystkim nowotwory.

— Jak, w najogólniejszych zarysach, wygląda obraz wrzodu, a jak nowotworu?

— W zasadzie — odwrotnie. Przy wrzodzie śluzówka żołądka czy dwunastnicy jest nadżarta; kontrast wchodzi w to miejsce dając nam dodatek cieniowy. Nowotwór natomiast wrastając w przewód pokarmowy zmniejsza jego światło i da nam obraz ubytku cieniowego.

Z kolei lekarz prześwietla klatkę piersiową.

— Jakie choroby płuc rozpoznaje pan doktór prześwietleniem?

— Gruźlicę, raka, zapalenie płuc i opłucnej, żeby wymienić te najczęściej spotykane.

— No — i obce ciała.

— Bardzo słusznie. I ewentualne obce ciała, np. kulę.

— A może pan doktór będzie uprzejmy mi powiedzieć, w jakich wypadkach robi pan prześwietlenie, a w jakich zdjęcie?

— Dosyć jest trudno przeprowadzić taką granicę. Prześwietla w zasadzie lekarz, zdjęcia wykonuje w zasadzie laborant, a lekarz je tylko ocenia. Prześwietlamy najczęściej płuca i przewody pokarmowe, utrwalając na zdjęciach raczej momenty najważniejsze za pomocą zdjęć celowanych, o ile posiadamy odpowiednią aparaturę. Ponieważ prześwietlenie trwa długo, a zdjęcie — ułamek sekundy, dążymy do tego, żeby wykonywać jak najwięcej zdjęć a najmniej prześwietleń, żeby nie narażać niepotrzebne zdrowia lekarza. Laborant może bowiem wykonać zdjęcie znajdując się w innym pomieszczeniu niż pacjent.

Sprawy chirurgiczne, sprawy kostne badamy prawie wyłącznie za pomocą zdjęć, bo prześwietlenie mniej się do tego celu nadaje.

— A czy słuszny jest brak zaufania do aparatów małoobrazkowych?

— Bardzo niesłuszny, jak wszystkie przesądy. Aparaty małoobrazkowe zupełnie wystarczają do badań masowych, mających na celu wyławianie przypadków chorobowych. Skoro taka eliminacja już nastąpi, wówczas oczywiście kierujemy pacjenta na badanie normalne. A teraz, czy chce pan obejrzeć zdjęcia?

— Chcę bardzo, choć pewnie nic z nich nie zrozumiem.

— Kiedy to wcale nie takie trudne. O — patrz pan.

Patrzę. Dwie kości przedramienia, jedna z nich złamana, to widzi i laik.

— A dlaczego każde zdjęcie wykonuje się dwa razy?

— Bo w dwóch płaszczyznach, przednio - tylnej i bocznej. Film jest przecież dwuwymiarowy, zaś pacjent — trójwymiarowy. Gdybyśmy wykonali zdjęcie tylko w jednej projekcji, zobaczylibyśmy złamanie, ale moglibyśmy nie dostrzec, że jedna z kości przemieściła się do przodu.

— A na tej kończynie nie uwidacznia się złamanie. Czy pacjent był zdrów?

— Był chory. Widzi pan tę ciemniejszą smugę wzdłuż białej linii kości? To nawarstwienie okostnowe po kontuzji.

— A w jaki sposób badamy takie narządy, jak nerki albo woreczek żółciowy, do których nie możemy wprowadzić papki barowej?

— Wprowadzamy do nich inne środki kontrastowe np. j o d i p i n ę, już to doustnie, już też za pomocą zastrzyku. Kontrast, drogą układu krwionośnego dochodzi po pewnym czasie do danego organu.

Przechodzimy do ciemni. Tu wywołuje się i utrwala rentgenogramy za pomocą techniki fotograficznej, tzn. przez kolejne zanurzanie filmów względnie papierów w wywoływaczu i utrwalaczu.

SYT szczegółów technicznych zapytuję moich rozmówców o humanistyczny aspekt ich pracy.

Radiologia należy do najciekawszych, ale i najtrudniejszych działów medycyny. W pomniejszych zakładach leczniczych spotyka się w gabinecie rentgenowskim cały szpital: przychodzi tam chirurg, przychodzi internista i ginekolog. I często dopiero pod promieniami odbywa się konsylium, ustala diagnoza, decyduje operacja... Dlatego rentgenolog musi znać dobrze i inne gałęzie medycyny, szczególnie w małym palcu posiadać internę. Ale też do postawienia rozpoznania konieczne są dlań wyniki innych badań dodatkowych. Ten sam bowiem obraz rentgenowski może oznaczać odmienne schorzenia w zależności od kontekstu historii choroby i wyników badań. Dlatego to rentgenolodzy domagają się przeważnie skierowań od innych lekarzy. Plama plamie nierówna, rozrzedzenie kości może mieć różnoraką przyczynę. I grzeszą przeciw medycynie ci ludzie, którzy pędzą do rentgena, ponieważ zakłuło ich w boku, zamiast pofatygować się wpierw do internisty. I dlatego jest karygodne, jeśli ktoś idzie się prześwietlić „na wszelki wypadek" a jakże często — żeby zyskać kilka godzin wolnych od pracy, kiedy zakłady radiologiczne zawalone są robotą, a prześwietlenie — dodatkową porcją promieni dla personelu fachowego — nie mówiąc już o kosztach!

Wysłuchuję tych uwag w poczuciu, żem smutny i sam pełen winy. Ale szczerość za szczerość. Wytaczam i ja pretensje, pretensje z tamtej strony okienka czy ekranu, pretensje i żale pacjenta.

miesiące leżał w szpitalu, nie wie nie tylko, czy został wyleczony, ale nawet jak był leczony i jak jego choroba n a z y w a? A przecież to są chyba wiadomości niezbędne? Chyba ma prawo wiedzieć?

— Niepotrzebnie się pan zaperza, odpowiada mi lekarz z uśmiechem. Jeżeli cytowane przez pana wypadki istotnie się trafiały, to należy to w dużej mierze złożyć na karb przepracowania lekarzy, spowodowanego zarówno uszczupleniem ich kadr po wojnie, jak i faktem, że opieką lekarską objęci są obecnie wszyscy ludzie pracy. Pacjent istotnie ma prawo wiedzieć, zaś lekarz — obowiązek informować. Jednakże owa prawda musi być podawana w sposób niezmiernie ogledny. Nie ma pan pojęcia, jak często pacjent wywraca sens usłyszanej diagnozy do góry nogami. Z rozpoznania: „gruźlica gruczołów wnękowych w stadium zwapnienia" wnioskuje, że jest ciężko chory. Wynik „Wassermann ujemny" napełnia go przerażeniem. Już nie mówiąc o tym, że powiedzieć choremu, że ma raka z przerzutami, to znaczyłoby często go dobić. Nawet w lżejszych przypadkach informacja musi być dawkowana iście po aptekarsku. Ludzie też sprowadzają sobie na własną rękę kosztowne leki z zagranicy, kiedy równie dobre preparaty mogą dostać w kraju po przystępnej cenie. Niejednokrotnie, powodowani brakiem zaufania do doktora, leczą się u kilku lekarzy jednocześnie, wnosząc z odmiennej terminologii o odmiennym schorzeniu, nie mówiąc o tym, że każdy lekarz ma i mieć powinien własną metodę terapii. Chorzy w przeczuleniu o swe zdrowie postępują jak dzieci. A dziecku wszak nie wolno kłamać ale i nie wolno mówić c a ł e j prawdy!

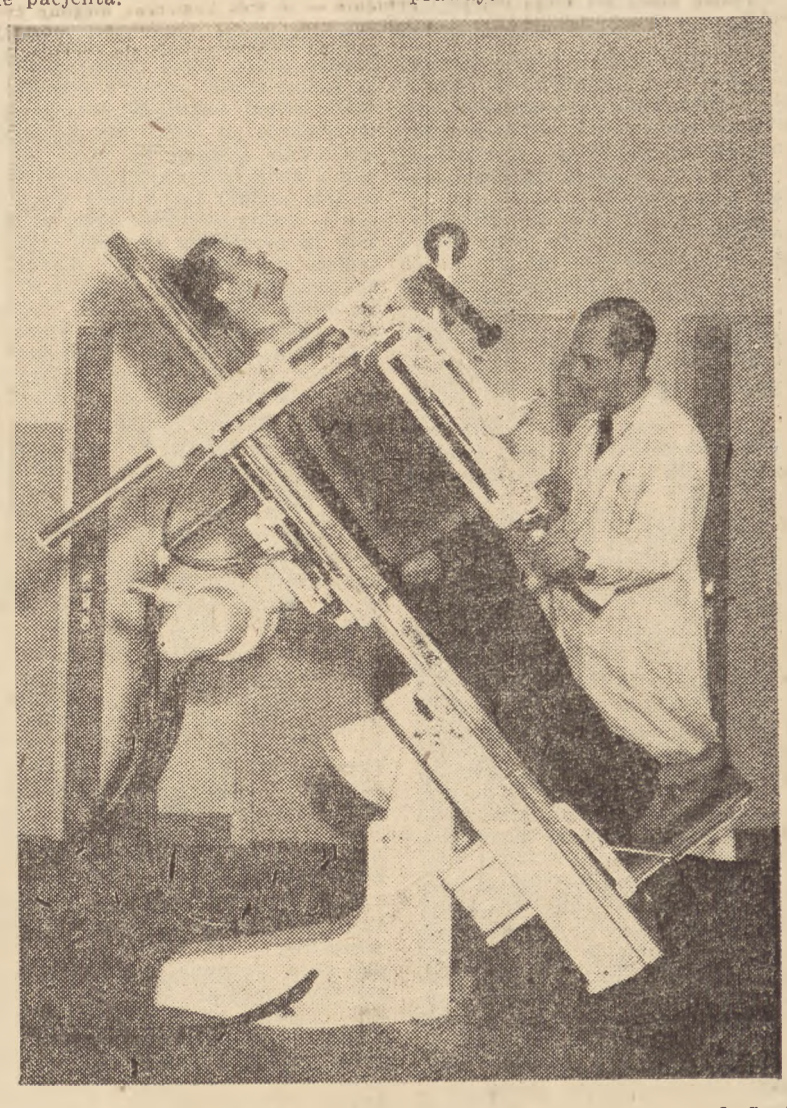

Aparat rentgenowski z urządzeniem rotacyjnym pozwala na zbadanie chorego w każdej pozycji *Zdjęcia J. Smogorzewski*

Dlaczego lekarze, a zwłaszcza radiolodzy praktykują swoje rzemiosło, jak gdyby odprawiali misterium? Dlaczego otaczają się trudną do przebycia barierą przepisów, biurokracji, fachowości i łaciny? Dlaczego nigdy przenigdy pacjent nie może się doprosić, żeby mu powiedziano jasno i wyraźnie na co jest chory lub nie chory? Dlaczego tak często zdarzają się przypadki, że prosty człowiek, który dwa lata leczył się u internisty, albo trzy

Zwieszam na to *dictum* głowę. Jeszcze bardziej czuję się smutny i pełen winy...

AŻEBY zrobić dygresję, adiunkt kliniki dr. Rychłowski prowadzi mnie na oddział terapii. Bo promienie X to takie dziwne promienie, które mogą bardzo szkodzić, ale mogą — w innych wypadkach i leczyć. Dlatego cała rentgenologia dzieli się na działy

(Dokończenie na str. 9.)

Alina ŚWIDERSKA

JULIUSZ I

— Pani bratowa dobrodziejka zawsze byłaś słaba dla Julka i zawsze go psułaś — pan Erazm bynajmniej nie tail niezadowolenia.

Przyjechał tu, żeby złożyć uszanowanie bratowej, ale zarazem uważał za konieczne powiedzieć jej słowa prawdy.

— Bardzo to przyjemna rzecz pisać i drukować poezje, ale to zabawka trochę za kosztowna, a pani bratowa jeszcze go do tego zachęcasz. Przecie to już nie chłopiec ale mężczyzna. Skończył dwadzieścia trzy lata. Wielka pora byłaby zająć się czymś poważniejszym. Przy swoich wiadomościach prawniczych i przy znajomości tylu obcych języków mógłby objąć jakiś piękny urząd tam w Paryżu. Pocóż pani dobrodziejka tyle łożyłaś na jego edukację, po co kształciłaś go w językach, jeżeli nie miało być z tego żadnej korzyści?

Salomea słuchała w milczeniu. Czuła, że jeśli przemówi choć jedno słowo, to się rozpłacze, a za nic mu nie chciała swoich łez pokazać.

— Jeżeli tak dalej pójdzie — kończył pan Erazm — to pani zaprzepaścisz i jego i swój fundusz, a mu szę ostrzec, że ja jego długów płacić nie będę.

Nic nie odpowiedziała. Dopiero gdy wyszedł, aby odwiedzić znajomych krzemienieckich, zamknęła się w swoim pokoju i wybuchnęła płaczem.

Czy rzeczywiście była za słaba dla Julka?... Owszem, i jej także przychodziło na myśl, że mógłby obok pracy twórczej zająć jakieś płatne stanowisko i że dałoby się pogodzić jedno z drugim. Przecież znaczną część utworów pomieszczonych w tych dwóch tomach poezji napisał w Warszawie, wówczas kiedy był urzędnikiem. Nigdy jednak nie wspomniała mu ani słowa o tym. Mogłoby to być zrozumiane jako niechęć do udzielania mu pomocy, a do tego bezwarunkowo nie chciała dopuścić.

Widziała, że on tych spraw nie traktuje lekko. Niedawno temu, gdy mu pisała, żeby się brał do drukowania trzeciego tomu, odpowiedział, że musi się wpierw porachować z kasą i dodawał, że go przeraża jej zupełne milczenie o interesach, że go dręczy myśl, iż ona może cierpi niedostatek, prosił na wszystko, żeby pisała szczerze i nic przed nim nie ukrywała... A raz, w którymś z dawniejszych listów wyrwał mu się okrzyk ubolewania, że jest taki niedołężny, że musi być ciągle dla matki ciężarem!...

Nie! O chęć wyzysku oskarżać go nie mogła. Pod jednym tylko względem nie podzielała jego złudzeń. Ani na chwilę nie przypuszczała, że wrócą się koszty wydania pierwszych dwóch tomów. I co do trzeciego nie miała zbyt wielkich nadziei. Ale to jej nie wstrzymywało od zamiaru wydania. Uważała, że jego twórczość warta jest tych ofiar.

Czy to było zaślepienie macierzyńskie? Chyba nie. Nie odnosiła się przecież do tych utworów bezkrytycznie. Przeciwnie, sądziła je może ostrzej niż gdyby szło o kogoś obcego. Zarazem jednak widziała, że mimo różnych wad przewyższają one znacznie wszystkie utwory innych współczesnych — oprócz naturalnie Mickiewicza.

Miała zresztą na potwierdzenie sądy innych. Głos tak poważnego krytyka jak Lemaitre i to w dodatku cudzoziemca byłby już sam przez się wystarczający. A pisał Julo, że i stary Niemcewicz po otrzymaniu przysłanych mu poezji wyrażał się o nich nader pochlebnie i że zawsze mu się jednako podoba ów „bezbożny" trzeci akt „Mindowy". Ten zaś, kto to Juliuszowi powtórzył, bibliotekarz Czartoryskich, Karol Sienkiewicz ongiś sam pisujący poezje, prosił go teraz o pozwolenie przełożenia niektórych jego utworów na angielskie.

Przypomniał Juliusz matce przy tej okazji, jak to jeden z profesorów krzemienieckich radził mu zaniechać poezji stawiając za przykład właśnie owego „Karola z Kalinówki" (pod takim pseudonimem pisywał Sienkiewicz), który choć ma wielkszy talent od niego, a jednak przestał pisać wiersze...

Dość, że obecnie, jak zauważył w liście, miał figurować w dwóch obcych językach — bo przecież tłomaczono go i na francuski — i dodawał, że jego tłomacze na pewno lepiej na tym wyjdą niż on sam.

Wreszcie i opinię Mickiewicza, mimo że wyrażoną z zastrzeżeniem, uważała Salomea za bardzo korzystną. Toteż brutalne, aczkolwiek grzecznie wypowiedziane słowa szwagra dotknęły ją głęboko.

Co więcej, czuła — choć jej tego nie mówiono przez delikatność — że i jej najbliżsi odnoszą się do tego tak samo.

Nasuwało się tutaj porównanie z Odyńcem. Eddy siedząc za granicą redagował dalej swoją „Melitele" i drukował ją w kraju. Wydawał też raz po raz nowy tomik poezji, potrafił nawet zużytkować ową żartobliwą balladę o czarnym psie skomponowaną wspólnie z Juliuszem na przechadzce, pomieszczając ją w jednym ze zbiorów. W ogóle uczynił sobie ze swego talentu doskonały środek utrzymania.

Gdybyż Julo chciał tak jak on tłomaczyć obcych poetów! Lecz nie. Wolał iść za własną fantazją, a matka także i co do tego nie robiła mu żadnych uwag. Wierzyła w moc tej fantazji. Była jednak w tej swojej wierze odosobniona. Nie mogła jej podzielić z nikim i nie mogła nikomu zwierzać swoich uczuć, a to stawało się dla jej rozlewnej natury bodaj że najcięższe...

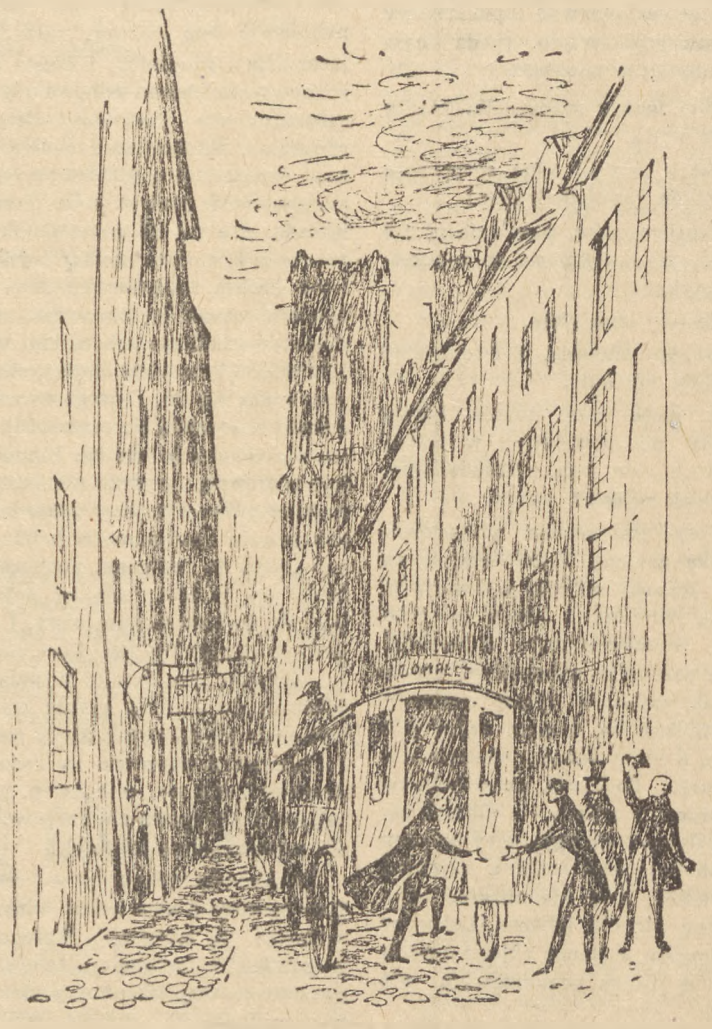

Z pieniędzmi zaś naprawdę było krucho. Jeżeli dotąd udało jej się jako tako związać koniec z końcem, to tylko dzięki temu, że mieszkanie i utrzymanie u rodziców nic ją nie kosztowało, a sama na siebie nie robiła prawie żadnych wydatków. Ona, co tak lubiła i tak umiała się ubierać — panie wileńskie przecież uważały ją za arbitra elegancji i żadna toaleta nie obeszła się bez rady i aprobaty pani Bécu — teraz nigdy nic sobie nie kupiła ani na obwinie nie palca. Żałobę po bracie sprawiła jej matka. Co prawda odtąd prawie że nie wychodziła z żałoby, której stosownie do przyjętego zwyczaju przestrzegano bardzo ściśle.

Juliusz pisząc do niej na imieniny życzył, żeby się już Bóg znudził zabieraniem od niej tych, których ona kocha. I dodawał, że dzień jej imienin będą obchodzili w Paryżu wszyscy razem... zrozumiała doskonale, co to znaczy *)... że ma być w tym dniu wielki obiad i tam on cicho jeden kieliszek wypije za jej zdrowie.

W następnym liście opisał szczegółowo całą uroczystość — oczywiście omawiając wszystko w sposób niezrozumiały dla cenzury — i rolę, jaką tam odegrał. Opowiedział też sprawę medalu mówiąc, że tych parę zdarzeń pochlebiło jego dumie, a więc dało mu kilka chwil szczęścia, przy czym jednak sam zauważył, że nędzne to jest życie, które w tym szczęścia szuka...

Zamyśliła się nad tymi słowami. Czy z takim usposobieniem mógł być szczęśliwy?... O Mickiewiczu wyrażał się z niechęcią, o Lelewelu ze wstrętem mówiąc, że traci szacunek u ludzi przez swoje intrygi (czy to mogła być prawda, czy też to nie był raczej wynik plotek i swarów emigracyjnych, o których sam Juliusz tak często wspominał?), poetę Witwickiego, którego tak cenił Odyniec, nazywał „głupią figurą". Miała wrażenie, że nawet dla Skibickiego w ostatnich czasach ochłódł trochę. I robił gorzką uwagę, że gdyby ludzie o wszystkim nie zapominali, to ona i jego ojciec zostawiliby mu na świecie wielu przyjaciół, lecz że on nie powinien mieć syna, bo nawet dla siebie ani jednego przyjaciela nie może znaleźć, więc cóż by mu zostawił?...

Otarła oczy i czytała dalej. Ponieważ dla uspokojenia jego skrupułów napisała mu, że niczego jej nie brak i zapewniając, że zawsze przede wszystkim myśli o własnych potrzebach, prosiła jak mogła najserdeczniej, żeby jej uwierzył — mówił, że wierzy słowom listu, choć znając jej serce mógłby wątpić... Na pytania zaś o jego zdrowie odpowiadał, że chyba nigdy nie był tak zdrów jak obecnie i że wygląda tak dobrze, iż kochany stryjaszek, gdyby go zobaczył, pękłby ze złości. I do niego bowiem przesłał pan Erazm admonicję w liście i to wypowiedzianą bez ogródek...

Kończył jak zawsze najczulszymi wyrazami prosząc, żeby wierzyła w jego wdzięczność, bo jakżeby śmiał po tylu łaskach z jej strony przesyłać zamiast wdzięczności obłudę!...

...Niebawem znowu list. Wcześniej niż się spodziewała. Otworzyła go i aż jej dech zaparło ze zdumienia.

Za kilkanaście dni wyjeżdża do Genewy!... A więc w tej chwili od dawna jest w drodze, może nawet już dojechał na miejsce...

Co? Jak? Dlaczego?... Nic nie mogła zrozumieć. Powody, jakie podawał, nie były istotne. Pisał, że interes — nie wspominał jaki — zmusza go do wyjazdu, ale że do Paryża wróci już nieprędko lub może nawet nigdy, bo tu przykro, drogo i niespokojnie. Lecz to były przecie rzeczy, o których wiedział zawsze. W ostatnim liście robił projekty na zimę, donosił, że kazał sobie w pokoju piec postawić, bo kominek nie daje ciepła a zjada mnóstwo drzewa, że w karnawale zamierza chodzić do Opery na reduty o ile będzie w dobrym humorze, zwierzał się matce „w wielkim sekrecie", że pisze teraz tragedię po francusku i chciałby ją wystawić w teatrze *Porte Saint-Martin*, że ma nawet znajomego literata, który mu poprawia francuszczyznę — nic więc nie wskazywało na to, żeby miał Paryż opuścić. I nagle taka wiadomość!...

Musiało zajść coś niespodzianego, ale co takiego? Na próżno łamała głowę. Nawet w przybliżeniu nie mogła odgadnąć. Nic jednak nie pozostawało innego, tylko czekać listu z Genewy.

Z ciekawością brał Juliusz do ręki nowy tomik poezji Mickiewicza. Dalszy ciąg „Dziadów", owego fantastycznego dramatu, z którego tak się wyśmiewali profesorowie wileńscy, aż on z płaczem uciekł z pokoju... Układ poematu był zresztą cokolwiek dziwaczny. Wydane przed dziesięciu laty dwie części nosiły nazwę „drugiej" i „czwartej". Obecna nazwał poeta „trzecią", mimo że opiewała zdarzenia późniejsze — o ile w ogóle mogła być mowa o czasie w dramacie dziejącym się na poły w dziedzinie fantazji.

Od pierwszej chwili jednakże Juliusz poznał, że ma przed sobą arcydzieło. Arcydzieło myśli i słowa dopełniające się wzajem.

Samobójca z uprzednich części „Dziadów" odżył tutaj na nowo pod zmienionym imieniem, żeby żyć już nie dla siebie ani dla własnego szczęścia, lecz dla ojczyzny. Jako temat obrał poeta jednak nie walkę zbrojną, w której sam nie miał udziału, ale to co przeżył osobiście — prześladowanie młodzieży wileńskiej za czasów Nowosilcowa. Rzecz była stosunkowo mniejszej wagi w porównaniu z owym bohaterskim zrywem o niepodległość, ale dzięki nadzwyczajnej potędze wyrazu, dzięki dramatyczne mu ujęciu całej sytuacji nabierała takiej siły, że przewyższyła wszystko, cokolwiek twórca mógłby napisać na inny temat.

Juliusz czytał to z biciem serca. Doświadczał przy tym uczuć nader zmieszanych. Przede wszystkim naturalnie uderzało go to, co było poczją. Będąc już sam mistrzem słowa mógł bardziej niż ktokolwiek ocenić cały kunszt artystyczny. Co więcej, widział tam taką moc natchnienia, jakiej czuł, że sam nie zdołałby dorównać. Lecz za największe zwycięstwo swego rywala musiał poczytać to, że chwilami porywał go tamten tak dalece, iż zapominał o krytyce, przestawał oceniać to okiem znawcy, był już tylko po prostu czytelnikiem.

Był nim zaś tym bardziej, że fakty opisywane znał dokładnie. Mickiewicz z nadzwyczajnym realizmem — co bynajmniej nie wykluczało opracowania artystycznego — podawał taką wierność szczegółów, że nawet nazwiska występujących osób były prawdziwe. Zmieniał je tam tylko, gdzie zachodziła obawa, że mogłoby to zaszkodzić rodzinom będącym w kraju.

I Juliusz znał większość tych osób. Słyszał też nieraz opowiadania o życiu więziennym, chociaż nie tak szczegółowe ani tak plastyczne. Ale to wszystko przedstawiało mu się wówczas zupełnie inaczej. Stał daleko od tych dążeń wolnościowych. Żył w świecie fantazji. Sprawy te zajmowały go o tyle tylko, o ile dotyczyły znajomych. I tak samo odnosiło się do nich jego najbliższe otoczenie. Nie inaczej było i u Śniadeckich. Ludka przecież także żyła w oderwaniu od świata rzeczywistego.

Dzisiaj w świetle wszystkiego, co nastąpiło później, te sprawy nabierały większego znaczenia. Nabierały go zwłaszcza w świetle twórczej fantazji poety. A Juliusz czytając przeżywał je stokroć silniej niż by mógł był przeżyć w rzeczywistości...

Nagle wśród czytania pobladł, a potem krew gwałtownie uderzyła mu do głowy...

Zmieniła się scena amatu. Już nie w celi więziennej rozgrywały się wydarzenia, ale w salonie senatora — Nowosilcowa. I ten także wymieniony był po nazwisku, zarówno jak i ludzie z jego otoczenia, Pelikan, Bajkow i inni. Wśród nich znajdował się jeden nie nazwany wprawdzie, donosiciel, lizus, pochlebca, najwstrętniejsza figura, jaką można sobie wyobrazić, określona tylko jako „doktor" — ale którego nazwiska nie trudno się było domyślić. Wskazywał na to jeden fakt tak wyraźnie jak wskazanie palcem. Dramatycznym momentem sytuacji było uderzenie pioruna w chwili właśnie, w której doktor nie znajdował się na scenie i wiadomość, że piorun zabił go w mieszkaniu tuż obok, przy czym wszystkie szczegóły zgadzały się najdokładniej ze znanymi powszechnie szczegółami śmierci doktora Bécu. Słowa zaś senatora, gdy wszyscy rozbiegli się w popłochu: — „Przeklęty doktor! Żyjąc nudził mnie do mdłości, teraz jeszcze po śmierci rozpędza mi gości!" — były jak gdyby policzek wymierzony umarłemu...

Juliusz nie czytał dalej. Rzucił książkę, zerwał się z miejsca i długi czas biegał po pokoju gwałtownie wzburzony, zanim nareszcie opanował się jako tako.

Ochłonąwszy nieco usiadł przy stole i napisał do Skibickiego prosząc, żeby przyszedł do niego natychmiast. List ten odesłał zaraz przez służącego.

W ostatnich czasach widywał Michała rzadko. Ten z niewiadomych przyczyn odsunął się od niego. Juliuszowi było to przykre. Nie umiał sobie niczym wytłumaczyć tej zmiany. W każdym jednak razie uważał go nadal za przyjaciela i w danej chwili nie widział nikogo równie bliskiego sobie, do kogo mógłby się zwrócić.

Po wysłaniu listu znów krążył po pokoju. Próbował dalej czytać, ale nie mógł. Litery mieniły mu się przed oczami, a jeżeli nawet zdołał się opanować o tyle, żeby zrozumieć to co czyta, nie był zupełnie zdolny do skupienia myśli. Żal i gniew wzmagał się w nim ciągle.

Czemu Adam tak zrobił? Bywał przecież gościem w ich domu i łączyły go z nimi stosunki przyjazne. Doktor Bécu nigdy mu nie wyrządził żadnej krzywdy osobistej. Czy nie mógł jego postaci pominąć zupełnie? Juliusz znał drogi twórczości i zdawał sobie sprawę, iż tam gdzieby szło o doskonałość dzieła, on sam nie zawahałby się urazić kogoś, gdyby taki wzgląd miał mu przeszkodzić. Ale czy doskonały skądinąd obraz Nowosilcowa i jego świty straciłby na tym tak wiele, gdyby tam zabrakło tej jednej figury?... O niesłychanym zbiegu okoliczności, jakim była ta śmierć tak na wskroś tragiczna, zapomniał jakoś w tej chwili...

Michał zjawił się dopiero wieczorem. Znał już trzecią część „Dziadów", domyślił się więc z łatwością o co chodzi, a z niedomówień w liście Juliusza odgadł resztę. Szło o pojedynek z Mickiewiczem i o to, żeby on był sekundantem.

— Ależ Julu, zastanów się, to niemożliwe! Pomyśl tylko, kim jest Mickiewicz! Przecież to autor „Ksiąg Pielgrzymstwa"!...

Istotnie ten utwór pisany prozą biblijną stał się w ostatnich czasach niejako ewangelią uchodźców polskich. W szeregu przypowieści niekiedy iście natchnionych obrazował tam poeta niedolę wygnańców, piętnował ich wady i ukazywał im drogę do wyzwolenia ojczyzny przez odnowienie własne. Książka ta bardziej jeszcze niż „Konrad Wallenrod" postawiła go na czele narodu. Podziwiali ją zresztą nawet i obcy. Tłumaczona na francuski i włoski rozeszła się przez pół Europy.

Dzieło to nie było w guście Juliusza. Uznawał jednak jego wartość i ocenił piękno poetyckie poszczególnych rozdziałów.

— Przecież tu nie idzie o twego rodzonego ojca — perswadował mu dalej Skibicki — Co? Że był mężem twojej matki? Ale przecie nigdzie nie jest wymienione jego nazwisko. I sam mówisz, że nie ma w tym żadnej zemsty osobistej. Wierzaj mi, pojedynek rozmaże tylko całą sprawę. Dowiedzą się o niej tacy, którym to ani w głowie... A wiesz, co ludzie powiedzą? Że chciałeś usunąć rywala, żeby ci nie stał na drodze do sławy.

To zdaje się podziałało najbardziej. Juliusz stojący dotychczas uporczywie przy swoim, zaczął się wahać...

Przepędził noc bezsenną, ale nazajutrz wstał już zdecydowany. Strzelać się z Adamem nie będzie, ale w Paryżu zostać nie może.

Niepodobieństwem byłoby dla niego spotykać się nadal z Mickiewiczem, zasiadać z nim razem w Towarzystwie litewsko-ruskim. Musi się usunąć. Nie od dziś zresztą przemyśliwał nad wyjazdem z Paryża. W listach do matki robił projekty zamieszkania z nią razem to w Dreźnie, to w Szwajcarii, to we Włoszech i z właściwym sobie zmysłem praktycznym obliczał od razu koszty utrzymania. Od rodaków, którzy obijali się po całym świecie — bo gdzież tych Polaków nie było? — dowiadywał się, gdzie jest najtaniej i zaraz na poczekaniu snuł plany przyszłego życia.

Sally kiwała tylko pobłażliwie głową na te zamiary. Znała niestałość Julkowych projektów i wiedziała, że to są zamki na lodzie. Nasyciłby się nimi jeszcze zanim by je zbudował. W Paryżu zresztą trzymały go sprawy wydawnicze. Tu jedynie miał możność drukowania swoich poezji, a robiąc to należało koniecznie być na miejscu. Trzeci tom miał już prawie gotowy.

Teraz jednakże zmieniło się wszystko. Nie mógł tu zostać dłużej. Z miejscowości, o których mu opowiadano, najbardziej utkwiła mu w pamięci Genewa. Tam więc postanowił wyjechać.

W zimny i dżdżysty wieczór z końcem grudnia spożywał na odjezdnym obiad w towarzystwie kilku rodaków.

Parę dni przed tym na jednym z zebrań emigracyjnych — na którym naturalnie Mickiewicza nie było, bo w przeciwnym razie nie poszedłby na nie — proszono go usilnie, żeby został, ale już za późno. Wszystkie przygotowania do tej tak odległej podróży były ukończone. Nie żałował tego zresztą. Dość już miał Paryża.

Zajechał przed stację dyliżans i w jednej chwili zapełnił się podróżny-

*) Imieniny p. Bécu obchodzone według tzw. „starego stylu" (kal. gregoriański) przypadały w samą rocznicę powstania, która czczono wspólną wieczerzą. (Znany wiersz W. Pola „Bracia, rocznica...").

SALOMEA

mi. „Ogromne zwierzę nadziane różnonarodowym tłumem", jak go po swojemu określił Słowacki. Nadeszło jeszcze paru Polaków. Stali wszyscy zbici w gromadkę pod oknem dyliżansu rozmawiając z nim do ostatniej chwili. W świetle latarni wyróżniała się wśród nich wychudła postać i blada twarz Zienkowicza, który stał nieruchomy pod cieknącym drobno deszczem. Biedak ten resztkami sił jeszcze trzymał się życia, wrócił na zimę z Wersalu do Paryża i teraz zwlókł się z fotela, żeby pójść pożegnać Juliusza. I tak mu pozostał „*in my mind's eye*", jak mówi Hamlet, bo Juliusz mógł być pewien, że go już na żywe oczy nigdy nie zobaczy...

Dyliżans ruszył przez długie i ciemne ulice, przejechał Pont Neuf mijając wyspę *de la Cité*, to stare jądro Paryża, zapuścił się w dzielnice nieznane Słowackiemu, aż nareszcie pogrążył się w czarną noc pełną deszczu.

Jadąc rozważał Juliusz cały swój pobyt w mieście i znalazł tylko jedno niczym niezamącone, naprawdę miłe wspomnienie. To była ta chwila, w której mu przyniesiono dwa tomiki jego poezji...

PENSJONAT pani Pattey w małej miejscowości Paquis pod Genewą czynił wrażenie domu wiejskiego. Budynek trzypiętrowy, szary z zielonymi okiennicami, otoczony był ogrodem, w którym oprócz jednego starego dębu rosły same prawie drzewa szpilkowe, a na trawniku wciąż jeszcze zielonym bezlistne o tej porze krzewy róż. Pobliskiego jeziora nie było widać, ponieważ zasłaniały je inne domy, tylko ponad wierzchołkami drzew widniał na dalekim horyzoncie śnieżny Mont-Blanc, czasem owiany białymi chmurami i sam do chmury podobny.

W pensjonacie latem bywało pełno gości z różnych stron świata. Teraz nie było tu nikogo prócz starego pastora, Francuza. Tym większe wrażenie sprawił nowy gość, Polak.

Polacy mieli tu dobrą markę. Przemieszkało ich już kilku w domu pani Pattey i pozostawili jak najlepsze wspomnienie. Jeden z nich nawet upamiętnił się przepisem na ciasto, które się tak podobało, że „*le baba de Kosielsk*" znane już było w całej Genewie...

Nowy przybysz na smakosza nie wyglądał, ale fizjonomię miał bardzo interesującą. Pani Pattey, a zwłaszcza jej córka, panna Eglantyna, przyglądały mu się z zajęciem.

Mademoiselle Eglantine miała już około trzydziestki, była więc zdecydowanie starą panną. Twarz jej ładna jeszcze mimo cokolwiek przywiędłej cery miała wyraz wielce sentymentalny. Sentymentalne też było wejrzenie niebieskich oczu i całe obejście, ale przebijała przez nie dobroć istotna.

Juliusz od razu uczuł się tam dobrze. Szczera gościnność, z jaką go przyjmowano, zacierała zupełnie wrażenie, iż jest gościem płatnym, a przemiła — o wiele naturalniejsza w obejściu od córki — pani Pattey otoczyła go troskliwością mówiąc, że chce robić dla niego to, co pragnęłaby, żeby robiono dla jej syna przebywającego obecnie w oddaleniu od domu.

Genewa, miasteczko niewiele większe od Krzemieńca, odległa było o kilkanaście minut drogi pieszo. Mieszkało tam, jak poinformowały Juliusza jego gospodynie, kilka rodzin polskich. Nazwiska ich były mu nawet znane, lecz nie miał ochoty zawierać z nimi stosunków. W ogóle nie chciało mu się robić żadnych znajomości. To się jednak nie udało.

W pensjonacie musiał się zameldować jako poeta, bo żadnym innym zawodem nie mógł się wykazać. Ten zaś zawód oczywiście wzbudzał ciekawość, zwłaszcza u kobiet...

OSTATNIMI czasy Słowacki przestał się pojawiać w salonie wieczorem. Podobno pisał nowy poemat.

Eglantynę dziwiło to trochę, ponieważ mówił jej, że w lecie nigdy nie miewa „weny" poetyckiej, ale nie stawiała mu żadnych pytań.

On zaś rzeczywiście pracował nad utworem. Pierwszy to raz jego twórczość miała być aktem woli. Dotychczas zawsze natchnienie przychodziło mu samo: wraz z nadejściem jesieni poematy rodziły się w głowie. Tym razem miało być inaczej.

Widział konieczność ukazania się znowu w świecie literackim. Nie mógł stoczyć z Mickiewiczem pojedynku na broń palną ani na szable, musi więc z nim walczyć bronią taką, jaką obydwaj władają najlepiej — bronią słowa poetyckiego

Myśl ta nurtowała go od pierwszej chwili, a teraz zaczynała już przybierać kształty. Należało stworzyć dramat, który by mógł współzawodniczyć z trzecią częścią „Dziadów". Nie było to łatwe.

Nie mógł iść za porywem natchnienia, którego zresztą brakło mu w tej chwili. Obmyślił wszystko z góry, na zimno, nie wątpiąc zresztą, że gdy zacznie pisać, ogarnie go moc twórcza.

Mickiewicz swego bohatera nazwał Konradem. Imię to miało znaczenie podwójne. Wywodziło się przede wszystkim od Byrona, ale następnie uzyskało już filiację u niego samego jako „Konrad Wallenrod", w którego postaci odtworzył po części siebie. Oczywiście, tylko po części, ale były tam rysy, w których się poznawało samego poetę. Natomiast Konrad w „Dziadach" był już wyraźnym odbiciem twórcy. Podobnie jak namiętny i sentymentalny Gustaw w pierwszych częściach poematu odtwarzał tragedię miłości autora — tak w trzeciej części Konrad stawał się wyrazem cierpień narodu, które przeżywał tak jak gdyby były jego własne.

Mickiewicz nie przelewał wprawdzie krwi na polu bitwy, ale był jednak więziony za sprawę narodową, a potem zesłany na wygnanie. Z tym zaś czego nie doświadczył osobiście, zetknął się blisko za pośrednictwem towarzyszy. Juliusz nie miał nawet takich przeżyć. Zastanawiając się nad imieniem swego bohatera, nie wiedział jak go nazwać. Jedyne, co mógłby opisywać, to były przeżycia wewnętrzne, a zatem — przeżycia serca. Tak, właśnie serca.

„Mój zimny Julek", nazywała go dawniej matka. — Ty nie masz serca — ten zarzut słyszał w rodzinie najczęściej i było to poniekąd słuszne. Nade wszystko górowała w nim wyobraźnia. Odczuwał tylko te wrażenia, które trafiały do jego fantazji.

A jednak nie był naturą obojętną. Umiał kochać i nienawidzieć. Wzruszał się silnie i głęboko. Tylko że z tych wzruszeń natychmiast zaczynał sobie tworzyć dramat i zajmowało go już nie to, co było przyczyną wzruszenia, lecz to, co w nim samym wywoływały te odczucia, i zamiast bólu znajdował w nich upodobanie. A czyż nie był pod tym względem synem własnej matki? Wszakże i Sally lubowała się w swoich smutkach...

Dość, że jego bohater nie mógł być bohaterem czynu, ale serca... *Cor, cordis*... Nadał mu imię „Kordian". To wyrażało jego charakter najlepiej. A przy tym brzmiało podobnie do Konrada. Kto chciał, mógł schwycić tę analogię...

W jakichże okolicznościach miał się rozgrywać dramat Kordiana? Oczywiście, że tylko w czasie powstania listopadowego. Poeta był przecież przy jego wybuchu, przeżywał te chwile, mimo że nie brał w nich czynnego udziału. Nie to jednak obrał za przedmiot dramatu. Przynajmniej pierwszego z dramatów, rzecz bowiem miała być zakrojona na wielką skalę, zamierzał stworzyć trylogię. W danej chwili pobudził jego fantazję inny moment, którego także był świadkiem, koronacja cara. To zatem postanowił uczynić zawiązkiem akcji.

Na razie zresztą pisanie mu nie szło.

*

— *J'ai rêvé cette nuit à votre mère** — i Eglantyna zaczęła mu opisywać postać niezbyt zresztą podobną do Salomei, dodała jednak, że nie widziała jej wyraźnie, ponieważ zobaczyła ją w jakimś pokoju ciemnawym, jak gdyby gdzieś na parterze.

Uderzyło to Juliusza, gdyż nigdy nie wspominał jej o mieszkaniu matki. Czyżby naprawdę widziała ją we śnie?...

Siedzieli oboje na ziemi w ogrodzie słuchając szmeru spadających liści. Była już jesień, ale piękna. Tak piękna jak może być tylko w górach. Trawniki dotąd zachowały wiosenną, majową zieleń, a słońce świecąc na wpół pożółkłych drze-

* Śniła mi się dziś pańska matka.

wach wydawało się jeszcze bardziej złociste niż zawsze...

Juliusz czuł jak zwykle o tej porze roku ogarniające go natchnienie. Zabrał się na powrót do „Kordiana" już nie z własnego nakazu, ale z nieprzepartej potrzeby tworzenia. Prolog miał już napisany, teraz winien nastąpić sam dramat.

„Trylogii część pierwsza. Spisek koronacyjny"... Takiego spisku właściwie nie było. Chodziły o tym jakieś słuchy po Warszawie przed przyjazdem cara, ale rzecz cała utknęła w zaczątku. Juliusz to jednak właśnie obrał za przedmiot pierwszego z trzech dramatów. Nie od tego wszakże rozpoczął.

Tkwiła w nim wciąż jeszcze chęć poetyckiej autobiografii. Ów „poemat serca", jak nazywał swoją „Godzinę myśli", urywał się na śmierci samobójczej przyjaciela i zamknięty był słowami: — „Powieść nie skończona". Teraz zapragnął ją prowadzić dalej już nie w formie powieści, ale dramatu. Zaczął od tego, na czym kończyło się tamto — od wiadomości o zgonie. W szeregu scen rozwijała się potem miłość Kordiana do „Laury", jak nazywano tak często Ludkę Śniadecką.

Pisał bez wytchnienia, ale tylko wieczorami. Przez cały dzień był roztargniony, nie słyszał co do niego mówią, popełniał najdziwniejsze omyłki, do pracy zaś zabierał się dopiero po kolacji, ale wtedy siedział późno w noc, a potem spał tak mocno, że z rana nie można się go było dobudzić.

Pisząc miał wciąż na myśli „Dziady" Mickiewicza.

Jak tamten w postaci swego Gustawa... za przykładem zresztą goethe'owskiego Wertera ...przeżył to samobójstwo z miłości, na które się nie zdobył w życiu — tak i Kordian strzela do siebie z rozpaczy. Sam Juliusz zresztą był przecież tak bliski tego w owym tragicznym momencie pożegnania z Ludwiką...

Juliusz takich przeżyć duchowych nie miał i mieć nie mógł. Nie tylko dlatego, że nie doszedł jeszcze do pełni wieku męskiego, w której znajdował się Mickiewicz, ale dlatego, że on żył zawsze w świecie fantazji i ta fantazja starczyła mu za wszystko.

Pod jej wpływem dał teraz szereg scen piękniejszych jedne od drugich, w których swoje młodociane przeżycia uczuciowe ubrał w taką krasę słów, a zarazem dzięki wrodzonemu poczuciu sceny dał im takie napięcie dramatyczne, że śmiało mogły się mierzyć z dziełami największych twórców. Lecz tu wobec czekającego go wielkiego momentu stanął bezradny. Tutaj sama fantazja okazywała się bezsilna....

Jakież były jego najgłębsze przeżycia duchowe?

Pragnienie sławy. Zacząwszy od owych pierwszych modlitw dziecinnych aż po dzień dzisiejszy żądza sławy, ale sławy wielkiej, pośmiertnej, która by go przeżyła o całe wieki, była tym, co go wstrząsało najsilniej i najgłębiej, tym co stanowiło przyczynę jego największych cierpień i radości. To więc powinno stać się motywem wielkiego monologu Kordiana.

Co dzień, ilekroć wyszedł z domu, a nawet stanąwszy w ogrodzie, widział z daleka owionięty chmurami i sam podobny do chmury szczyt *Mont-Blanc*. Jeżdżąc nieraz łodzią po jeziorze widywał go dokładniej i ten widok budził w nim zawsze rozmaite marzenia i pragnienia.

Przywodził mu przede wszystkiem na myśl poetę Malczewskiego, który jeden z pierwszych wdarł się na ów szczyt uważany do niedawna za niedostępny i którego nazwisko wymieniane było we wszystkich opisach tej karkołomnej wyprawy. Budziło to podziw i zazdrość Juliusza, dlatego że sam nie czuł się na siłach do takiego wyczynu. Lecz nie jedynie dlatego. Malczewski umierając młodo zostawił po sobie jeden tylko poemat, ale tym poematem przerósł o głowę wszystkich poetów współczesnych. Jakże mu Juliusz zazdrościł! Jakżo by chciał mieć śmierć równie piękną i szlachetną!... I gdy patrzył na *Mont-Blanc*, widział jakieś podobieństwo między tym szczytem górskim a poetą, który go osiągnął... Tam więc postanowił umieścić swego bohatera. — Jam jest posąg człowieka na posągu świata! — mówi z dumą

Uratowany — lecz zachowując na czole podobnie jak i Gustaw piętno samobójcze — odbywa wędrówkę po świecie będącą po części odbiciem podróży samego Juliusza, doznaje rozmaitych zawodów w tym, co kochał i w co wierzył, i wreszcie postanawia wrócić do kraju, żeby się poświęcić dla ojczyzny. I tu dopiero zaczyna się właściwa akcja dramatyczna.

U Mickiewicza punktem szczytowym dramatu był monolog Konrada wygłoszony samotnie w celi więziennej. Opowiadano, że poeta tak był przejęty w chwili tworzenia tej sceny, że znaleziono go zemdlonego obok niedokończonych kartek rękopisu. Nie wiadomo, ile w tym opowiadaniu było przesady, a ile prawdy. W każdym razie zawarł on w słowach tego monologu wszystkie swoje najgłębsze przeżycia duchowe i dał im najpotężniejszy wyraz.

Kordian stojąc na szczycie góry, lecz po chwili sam dodaje, że ma wprawdzie piękność posągu, ale „lampy brak", i poszukuje dowodu „z ziemi lub błękitu" tej myśli, która go uczyni wielkim...

Konrad mickiewiczowski wypowiadał swój monolog w czterech ścianach celi — Kordianowi potrzeba było na to całej dekoracji widoków alpejskich. Co więcej, Juliusz, który nie tylko na *Mont-Blanc*, ale na żadnym szczycie górskim w ogóle nigdy nie był, kreślił te obrazy z fantazji. Były wprawdzie piękne, ale pozostały jedynie — literaturą.

Cały ten monolog był wzorowany wyraźnie na Mickiewiczu. Gdyby nie było owej sceny w trzeciej części „Dziadów", to i ta scena również by nie istniała. We wszystkich scenach uprzednich Juliusz był sobą. Dał rzeczy pierwszorzędnej piękności i rzeczy szczere, oryginalne. Tutaj stanął na koturnach.

Ostatecznie jego bohater chcąc się dostać do ojczyzny musiał wezwać na pomoc chmurę i ta chmura przemówiwszy do niego, zaniosła go na ziemię polską. Pomysł iście romantyczny i zgodny z gustem czasu.

Cała ta praca dawała Juliuszowi szczęście. Szczęśliwy był wieczorem, kiedy pisał, szczęśliwy z rana, kiedy chodził po suchych liściach alei ogrodowej.

Zarazem jednak uczuwał dziwny niepokój. Niepokój ten zdawał się iść za nim na każdym kroku, wyzierał ku niemu z kart książki trzymanej w ręku i miał jakąś twarz ludzką i bladą... Juliusz przestawał wtedy rozumieć co czyta, zrywał się z miejsca i zaczynał krążyć napastowany myślami, od których nie mógł się opędzić... Gdy patrzył na piękną przyrodę dokoła, uczuwał pragnienie jakiejś wielkiej miłości, która by mu dała pełnię zadowolenia. Wśród takiej natury trzeba być zakochanym! Lecz on pod tym względem czuł nad sobą jakieś przekleństwo. Mógł się żywić tylko okruchami uczuć. I w tych swoich uczuciach nie widział nic wielkiego prócz tego właśnie nieskończonego niepokoju prawie bez rysów, a który jednak wyczuwał wszystkimi zmysłami...

Tymczasem praca nad „Kordianem" szła dalej. Bohater dramatu jest już w wojsku polskim. Na tajnym zebraniu spiskowców głosuje za śmiercią cara przybyłego na koronację i sam ofiaruje się na zabójcę. Sprawować będzie nocną straż w carskim pałacu, ma więc sposobność do spełnienia czynu. Nie spełnia go jednak. Przeszkadzają mu w tym dwie naczelne władze jego natury — strach i imaginacja... Z jakimże okrutnym brakiem wyrozumiałości osądził poeta sam siebie!...

Znaleziony z bronią w ręku omdlały na progu carskiej sypialni, zostaje skazany na rozstrzelanie. Na prośbę jednak brata carskiego, księcia Konstantego — który jak wiadomo miał wielkie przywiązanie do żołnierzy polskich, choć się nad nimi pastwił — ma być ułaskawiony, jeżeli wykona skok szaleńczy konno przez piramidę bagnetów ustawionych ostrzami do góry. Skok się udaje, ułaskawienie zostaje mimo to cofnięte. Dopiero w ostatniej chwili, kiedy już ma być wydana komenda na strzały, nadlatuje pędem konno adjutant z wyrokiem ułaskawiającym. Oficer go nie widzi, wznosi rękę w górę... Czy padły strzały? Nie wiadomo... Na tym urywał się dramat i zarazem pierwsza część trylogii.

Pomieścił w nim poeta bardzo wiele. Nie tylko cały szereg wspomnień osobistych, ale i niezmiernie plastyczne obrazy koronacji carskiej — która jakże inaczej przedstawiała mu się teraz niż wówczas, kiedy ją oglądał!... — i niesłychanie dramatyczną choć niezgodną z historią scenę pomiędzy carem Mikołajem a jego bratem, i dużo jeszcze innych.

Rzecz cała poprzedzona była prologiem podwójnym na wzór „Fausta" Goethe'go. Zamysł był zuchwały. W ten sposób stawiał się Juliusz obok tego, który został uznany za największego geniusza poezji europejskiej. Oczywiście, przecenił własne siły. Wstęp mający być zarazem satyrą na emigrację, przeładowany mnóstwem sztucznych efektów, nic nie dodawał do dzieła ani nic nie objaśniał. Lecz nawet wśród tego nagromadzenia diabłów, czarownic, kotłów i piekielnych ingrediencji, w całej tej wysilonej deklamacji tryskały miejscami wiersze przepiękne — kwiaty szczerego natchnienia.

Przez cały czas trwania pracy Juliusz znajdował się w stanie gorączkowym, który wzrastał w miarę, jak dzieło posuwało się dalej. Nie przestawał w nim być nawet w tych chwilach, w których nie pisał. Odbijało się to i w listach do matki, ostrzegał więc, żeby się tym nie przejmowała, gdyż to tylko wynik przeważającej w nim teraz nad wszystkim innym imaginacji.

Nareszcie „Kordian" był skończony.

Alina Świderska

CZYTAJCIE
„SŁOWO POWSZECHNE"
PISMO CODZIENNE

Tadeusz JANKOWSKI

Giecz — przywrócony historii

KIEDYŚ, jeszcze w szkole średniej, gdy po raz pierwszy w życiu czytałem fragment kroniki Galla Anonima w tłumaczeniu polskim, spotkałem się ze słowem — Giecz. Słowo to oznaczać miało jakiś potężny gród wielkopolski, gdyż właśnie obok Poznania, Gniezna i Włocławka ów Giecz figurował jako główny dostawca zbrojnych na wojenne wyprawy Bolesława Chrobrego. Aż 300 pancernych i 2 000 tarczowników stawiał giecki gród do dyspozycji polskiego władcy.

— Giecz... Giecz... — próbowałem znaleźć jakiś ślad w pamięci. Również daremnie wędrowałem oczyma po mapie. Gród ów jak gdyby rozwiał się i roztopił w przeszłości bez znaku poza tą właśnie wzmianką kronikarza. A zdawało mi się wtedy, że dość dobrze znam Wielkopolskę, skoro przemierzałem ją podczas każdych wakacji wzdłuż i wszerz wszelkimi dostępnymi wtedy środkami lokomocji.

Dopiero na ławie uniwersyteckiej odnalazłem ów tajemniczy i zagadkowy Giecz. Odnalazłem go w polskim Średniowieczu jako castrum i kasztelanię, jako jeden z najznaczniejszych swego czasu grodów Maioris Poloniae. Zapamiętałem go szczególnie z niezwykle ciekawej relacji czeskiego dziejopisa Kosmasa, który przedstawiając przebieg wyprawy Brzetysława na Polskę w 1038 r. wymienił leżący na przedpolu Gniezna Giecz jako gród, który poddał się bez oporu najeźdźcy. Mieszkańcy grodu a zarazem — jak wynika z owego przekazu — nietędzy jego obrońcy zwrócili się do zwycięskiego księcia czeskiego z propozycją przesiedlenia się do Czech. Notatki Kosmasa donoszą również o wielkiej liczbie uprowadzonych przez Brzetysława niewolników; Gieczanie stanowili zapewne jakąś niedużą ich część. Owa ludność gieckiego grodu, osiedliwszy się w Czechach, zapoczątkowała istnienie nowej osady nazwanej od mieszkańców Giecza Gieczanami-Hedczanami.

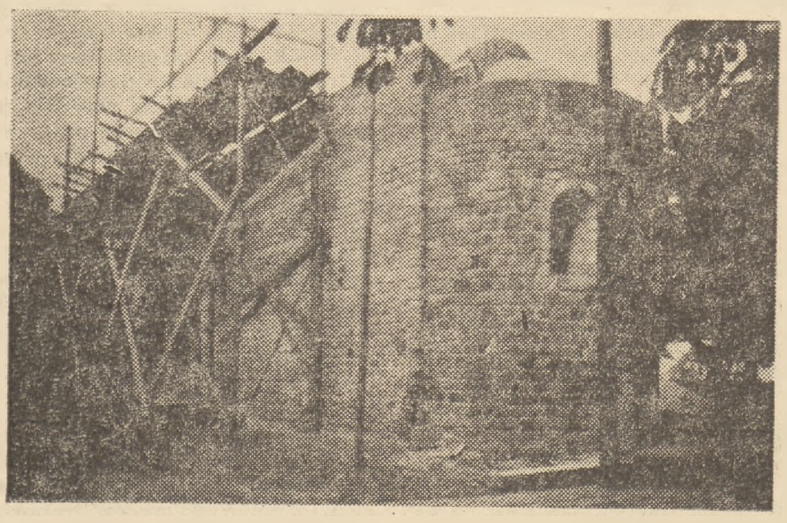

Giecz. Kościół romański w trakcie prac konserwatorskich

Na tym fakcie nie zakończyła się jednak historia Giecza. Osada zapełniła się znowu ludźmi, a gród musiał mieć ważne znaczenie, skoro tu według Jana Długosza anno Domini 1253, a więc równo 700 lat temu, zjechali się książęta wielkopolscy na obrady. Musiała tu istnieć kasztelania, skoro historia odnotowała kilka nazwisk kasztelanów gieckich. Obok właściwego grodu powstała już dość wcześnie po drugiej stronie rzeczki Moskawy wieś Giecz. Tę to własność książęcą przekazał Przemysław II w 1286 roku swemu kapelanowi Tilonowi. Z czasem wieś ta przybrała zapewne charakter miasta. Nie wiadomo, czy Giecz nie odegrałby poważniejszej roli w dziejach Polski, gdyby nie fakt zniszczenia go w 1331 roku przez najazd krzyżacki. Gród stał się ruiną a osada nie rozwijała się, tak że dzisiaj daremnie jej szukać wśród spisu miast polskich. Jest wsią powiatu średzkiego (12 km na północny wschód od Środy), o kilkunastu budynkach mieszkalnych, a w niewielkiej od niej odległości znajduje się tzw. Grodziszczko, tj. dawny gród. Z potężnego niegdyś grodziska pozostał tylko wał. W obrębie tego wału wznosi się dzisiaj drewniany kościółek św. Jana Chrzciciela o starej tradycji, bo wymieniono go (według Kohtego) już w jednym z dokumentów z 1240 r. Prócz tego rozłożył się tu cmentarz.

PIERWSZE TROPY

TYM pustkowiem cmentarnym i okolicą kościółka zainteresowali się dość wcześnie archeologowie. Niewątpliwie zachęciły ich do poszukiwań przytoczone już tu wzmianki historyczne, a równocześnie owo — jak to wyżej określiłem — roztopienie się grodu w przeszłości.

Pierwszy zainteresował się bliżej Gieczem—Schwartz. W 1911 r. — jak podaje dr Władysław Kowalenko („Grody i osadnictwo grodowe Wielkopolski wczesnohistorycznej", Poznań, str. 216 — 217) — odkrył ów badacz w oddaleniu około 60 m na wschód od grodziska szereg pali wbitych w ziemię, co uznał za resztki mostu na rzeczce Moskawie. Most ów miał łączyć grodzisko z wsią Giecz.

Później, po pierwszej wojnie światowej, zajmował się Gieczem prof. dr Józef Kostrzewski, a po ostatniej zawierusze wojennej Witold Hensel i Z. Kępiński. Do badań szczegółowych nie doszło jednak przed 1949 r., a to przede wszystkim ze względu na niezwykłość odkrytego przed wojną Biskupina, a także z powodu rozpoczęcia prac badawczych w katedrze poznańskiej. Badania w poznańskim tumie, trudne do realizacji przed wojną, stały się możliwe dopiero po zniszczeniu katedry.

Mimo że do badań najbliższej okolicy grodu zachęcały znaleziska w postaci skarbów srebrnych, szyszaka obitego pozłacaną blachą i wielu podobnych reliktów, Giecz musiał czekać swej kolei. Przyszedł na niego czas w 1949 roku, kiedy to Kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego przystąpiło do prac wykopaliskowych. Na czele ekspedycji naukowej stanął syn pioniera polskiej prehistorii, dr Bogdan Kostrzewski, znany ogółowi społeczeństwa polskiego również jako redaktor interesującego dwumiesięcznika „Z Otchłani Wieków". Właśnie w tym czasopiśmie Bogdan Kostrzewski przedstawił dotychczasowy stan badań, przeprowadzonych tak na terenie właściwego grodu (Grodziszczko) i jego okolicy, jak i prac przy kościele we wsi Giecz („Z Otchłani Wieków", XX, str. 149 — 154; XXI, str. 183 — 186).

POPRZEDNICZKA NOWEJ HUTY

KILKA lat temu, tuż po rozpoczęciu prac wykopaliskowych w Gieczu, będąc w Muzeum Archeologicznym w Poznaniu dowiedziałem się dość przypadkowo o badaniach w Grodziszczku. Mimo że mówił mi o tym sam kierownik ekspedycji gieckiej, nie byłem całkowicie przekonany o celowości tych prac. Cóż mogło pozostać ze zniszczonego wojnami i pożarami grodu?

Podejrzenia moje miały okazać się słuszne, lecz tylko na pewien okres czasu. Otóż to, czego doszukano się w 1949 r. na terenie właściwego grodu, nie przedstawiało początkowo nic godnego uwagi. Pracowicie zdejmowane warstwy ziemi mówiły o licznych pożarach, którym ulegało grodzisko i o odbudowach na przestrzeni od X wieku począwszy a kończąc gdzieś na XIV stuleciu. Natomiast zaintrygowało badaczy duże nagromadzenie nieciosanych kamieni wewnątrz grodu. Jakie było ich przeznaczenie — na to nie można było odpowiedzieć z końcem sezonu wykopaliskowego 1949, ani nawet w dwóch latach następnych. Zagadka miała się wyjaśnić dopiero w 1952 r.

Po mało owocnym, początkowym roku badań przystąpiono w 1950 roku do rozkopywania dalszej części grodziska. I wtedy to w południowowschodniej części grodu dokonano niezwykłego odkrycia: natrafiono na resztki prowizorycznych pieców hutniczych do wytapiania rudy żelaznej (darniowej). Te tzw. dymarki, jak i liczne żużle żelazne — pozwoliły stwierdzić, że Giecz był nie tylko ważnym grodem, lecz i hutą, zapewne jedną z pierwszych hut w kraju. Stanowił niewątpliwie część ważnego centrum przemysłowego, skoro na terenach sąsiednich wsi, Chłapowa i Borzejewa, natrafiono również na ślady wytopu żelaza.

Rozkopanie w tymże roku części wału pozwoliło na określenie czasu budowy tego umocnienia na wiek XII, chociaż dr Bogdan Kostrzewski na podstawie szczegółowego badania warstw ziemi i ich zawartości dokumentacyjnej (np. bełty kusz) twierdzi, że gród wraz z wałem spełniał jeszcze swe zadania obronne w dwa wieki później.

Trzeci pracowity rok archeologów „kopiących" w gieckim grodzie (1951 r.) wyprowadził badaczy z samego grodziska dosłownie— w pole; wykryto bowiem w tym czasie drogę, która łączyła grodzisko gieckie poprzez podmokłe łąki i most na Moskawie ze wsią, ściślej: z okolicą starego (z XII wieku), romańskiego kościołka pod wezw. św. Mikołaja a później również Wniebowzięcia Najśw. Marii Panny. I niebylejaka to była droga, skoro ułożono ją z pali, aż na szerokość 6 metrów. Czas jej budowy przypada na XII, a może nawet na XI wiek, używano jej jednak jeszcze w XIV stuleciu.

DRUGA REWELACJA 1952 ROKU

ZAGADKOWE nagromadzenie nieciosanych kamieni wewnątrz grodu, na które napotkano w 1949 roku, stało się w trzy lata później celem badań prehistoryków poznańskich. Po dokonaniu dalszych rozkopań okazało się, że owe kamienie to fundamenty okrągłej budowli o średnicy wewnętrznej około 10 m oraz drugiej budowli o kształcie prostokąta. Naukowcy doszli do wniosku, że natrafiono tutaj na resztki kościoła — rotundy i pałacu (palatium) z przełomu X i XI wieku. Rewelacyjne odkrycie takiego zespołu budowlanego w Gieczu to druga „sensacja" 1952 roku obok ciekawego i bardziej głośnego wykopaliska, dokonanego w tym samym mniej więcej czasie w katedrze na Ostrowiu Tumskim w Poznaniu (baptisterium i groby Piastów). Przedromańska ta budowla pozostaje jednak dalej zagadką, ponieważ brak rumowisk czy śladów rozbiórki sugeruje wniosek, że wystawiono ów zespół budynków tylko w dolnej partii, w fundamentach; jakieś ważne przyczyny uniemożliwiły postawienie właściwych murów palatium i kaplicy. Jeżeli jednak ów kościół istniał, to był jedną z najstarszych świątyń chrześcijańskich w Polsce.

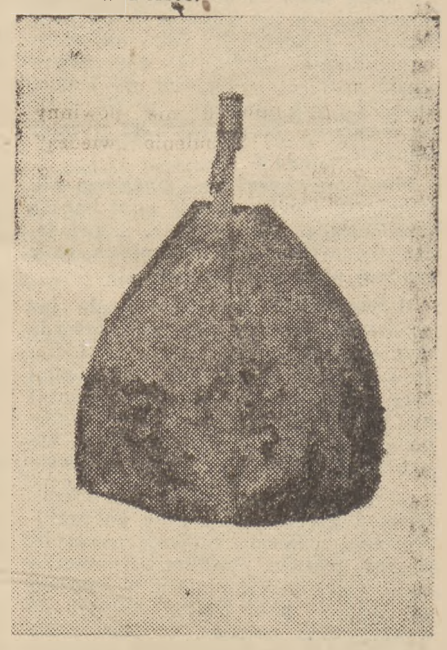

Giecz. Szyszak żelazny kryty pozłacaną blachą żelazną

Obok tego — niezwykle dotąd zagadkowego odkrycia — dr Bogdan Kostrzewski napotkał przy pracach badawczych we wnętrzu wspomnianego już romańskiego kościoła pod wezw. św. Mikołaja i Wniebowzięcia Najśw. Panny Marii pozostałości starszego kościoła, na którego planie wyrósł przetrwały do dzisiaj przybytek Pański. Reliktem z dawnego kościoła jest kamienna posadzka. Daty jej ułożenia nie udało się dotąd jeszcze ustalić. Trudno również określić czas powstania filaru, którego fundament wykryto we wnętrzu świątyni. Nasuwają się sugestie, że między istniejącą a odkrytą starszą świątynią istniała jeszcze jedna.

Tyle wiemy o dotychczasowym stanie prac badawczych w Gieczu. Szereg nierozwiązanych zagadek stanął przed uczonymi polskimi, gotującymi się do podjęcia badań na nowo. Giecz jest dotąd tajemnicą, którą wyrwą niewątpliwie „z otchłani wieków" pracowite dłonie i mózgi tych, którzy najokazalej chcą zaprezentować naszemu narodowi i światu polskie millenium.

Od Fryderyka I do Hitlera

Dokończenie ze str. 3

mem oddziaływał na pewną część narodu niemieckiego, czyniąc ją tym samym narzędziem junkiersko-militarystycznego imperializmu.

Ten ostatni zapragnął nadrobić za jednym zamachem wszystkie niewyzyskane dotąd okazje i zdobyć dla Niemiec przodujące stanowisko w świecie kosztem Anglii, Francji i Rosji. Z niebywałą brawurą przystąpił do wzniecenia pożaru wojennego w sierpniu 1914 roku. Skończyło to się klęską Niemiec. Ale nie ostateczną klęską imperializmu niemieckiego.

Rewolucja listopadowa przeraziła mieszczaństwo niemieckie bardziej niż nawet katastrofalne skutki wojny. Podpory przeciwko „proletariackiemu" niebezpieczeństwu szukało ono w chwilowo pobitej kaście feudalno-junkierskiej. Republika weimarska stała się platformą, na której przedstawiciele ciężkiego przemysłu banków i finansjerzy podjęli wspólnie nową walkę o stworzenie światowego imperium niemieckiego. Zmodyfikowali oni i udoskonalili propagandę pangermańską. Socjaldemokraci nie posiadali prawie żadnego znaczenia. Przegrali swą stawkę z chwilą, gdy weszli w przymierze ze starym militaryzmem, gdy Friedrich Ebert, wódz „rewolucji", a później prezydent Rzeszy związał się z następcą Ludendorffa, generałem Wilhelmem Groenerem, który w latach 1920/23 był weimarskim ministrem komunikacji, a od roku 1928 do 1932 ministrem obrony i spraw wewnętrznych. Od samego początku Socjaldemokracja Niemiec, nie wyzyskawszy i tym razem wyjątkowej okazji spełniała tylko rolę parawanu dla wszystkich destrukcyjnych niemieckich żywiołów, które szykowały się do nowej generalnej ofenzywy i które znalazły najdoskonalszą formę w nacjonal-socjalizmie.

Hitleryzm więc z punktu widzenia historyczno-politycznego nie był zjawiskiem absolutnie nowym.

Niemieccy teoretycy polityki gwałtu zwykli powoływać się dla usprawiedliwienia postępowania swych wodzów i polityków — na Machiavella. Ale w rzeczywistości machiavelizm spotykamy już na trzy wieki przed Machiavellim, mianowicie w Zakonie Krzyżackim. Od tej strony więc, hitleryzm posiadał niezwykle długi rodowód. Hitleryzm ponownie odrodził i do najwyższego stopnia doprowadził brandenbursko-pruskie państwo Wielkiego Elektora, Fryderyka Wilhelma I, który ze swej znów strony nie uczynił nic innego, jak to, że wskrzesił krzyżacką totalistyczną koncepcję państwa. Ruch nacjonal-socjalistyczny posiadał bowiem według słusznej oceny Paula Winklera[5]) następujące cechy: 1. surowość i okrucieństwo teutońskie rycerzy krzyżowych, 2. egoizm kastowy i arogancję krzyżackiej szlachty pruskiej, 3. fanatyzm i duch dyscypliny, wyrażający bezgraniczną pogardę osobowości ludzkiej i ślepą deifikację państwa zakonnego. Przejął też od Zakonu te cechy, które tamten odziedziczył bezpośrednio po Hohenstaufach: 1. zdecydowaną, utajoną bądź też otwartą wrogość względem chrystianizmu i 2. żądzę panowania nad światem.

Hitler, który często deklamował o „Tysiącletnim Imperium" owładnięty był tym samym duchem, co przed ośmiu wiekami Fryderyk Barbarossa, który pragnął żarliwie zostać „Dominus Mundi", władcą świata, i co jego następca, Fryderyk II, który głosił: „Bóg stworzył nasze cesarstwo przed wszystkimi królestwami ziemskimi". Formułę, którą ukuł Treitschke i którą podjęli jego uczniowie, a mianowicie: podobnie jak wielkość Niemiec zasadza się na predominacji w Niemczech Prus, tak wielkość i dobroć świata zasadzają się na predominacji kultury niemieckiej, ducha niemieckiego i charakteru niemieckiego — Hitler usiłował najskuteczniej wcielić w czyn z tym tylko, że nie była to kultura niemiecka, lecz najgorsze barbarzyństwo.

Aleksander Rogalski

[5]) Paul Winkler: „Allemagne secrète". Paris 1946, str 198

Gdy człowiek jest przezroczysty

diagnostyki i terapii. Punktem wyjścia jest tu zasada podobna do ogólnej zasady lecznictwa: mała dawka leku leczy, duża szkodzi, a nawet niekiedy zabija. Promienie X, przed którymi tak starannie musi się chronić rentgenolog, posiadają działanie biologiczne. Komórki wrażliwsze są od substancji międzykomórkowej, szczególnie komórki w stadium kariokinezy czyli podziału, a zatem — młode komórki. Do takich należą komórki nowotworowe, które pod wpływem promieni ulegają zniszczeniu. Wrażliwa jest też krew, narządy krwiotwórcze i tkanki gruczołowe, posiadające znaczny odsetek komórek.

— Jakie schorzenia leczymy promieniami? — zapytuję dr. Rychłowskiego.

— Wyliczę po kolei: w pierwszym rzędzie niektóre nowotwory, dalej: podostre i chroniczne sprawy zapalne, dalej: schorzenia układu krwiotwórczego, jak białaczka i ziarnica złośliwa, dalej: choroby zwyrodnieniowe układu nerwowego, np. jamistość rdzenia i stwardnienie rozsiane rdzenia, dalej: choroby zwyrodnieniowe aparatu kostnego, jak zapalenie stawów, zapalenie stawów zniekształcające, zapalenie kręgów, wreszcie: sprawy uczuleniowe, jak dychawica oskrzelowa i pewne postaci nadciśnienia.

— A w których wypadkach daje leczenie najlepsze wyniki?

— W leczeniu wcześnie rozpoznanych nowotworów promienioczułych, np. raka oraz w leczeniu spraw zapalnych.

— Dobrze. A teraz proszę o wyjaśnienie jednej rzeczy: dajmy na to, że zamierzamy leczyć organ położony głęboko, powiedzmy rdzeń kręgowy. Tymczasem promienie nim się dostaną do tego narządu muszą przejść przez bardziej powierzchowne warstwy ciała, których nie powinny uszkodzić. Skąd promienie „wiedzą" który organ mają leczyć? Wiem, że moje pytanie jest naiwne...

— Ależ nie, bardzo słuszne. Posiadamy sposób informowania promieni o marszrucie, którą winny przebyć. Tym sposobem jest różna przenikliwość promieni. Promienie X mogą być przecież krótsze lub dłuższe, zależnie od wysokości napięcia. Otóż te krótsze, „twardsze" jak mówimy promienie są bardziej przenikliwe, docierają głębiej. Puszczając zatem wiązkę promieni tak dobieramy napięcie, żeby te twarde dotarły w miejsce pożądane, miękkie zaś eliminujemy za pomocą metalowych filtrów. Skoro zaś nam chodzi o naświetlanie powierzchowne, to po prostu używamy promieni najbardziej miękkich, najmniej przenikliwych.

Z kolei dowiaduję się o działalność dydaktyczną i badawczą Zakładu będącego przecież jedną z najpoważniejszych instytucji tego typu na terenie Polski.

Działalność naukowo-badawcza jest wielokierunkowa. Przeprowadza się badania nad wczesnym rozpoznaniem raka żołądka i dwunastnicy. Dlaczego to ustawiczne podkreślenie ważności tempa rozpoznawczego, zapytuję i otrzymuję odpowiedź, która powinna była sama mi przyjść do głowy: chodzi o rozpoznanie, nim nastąpią przerzuty drogą naczyń krwionośnych i chłonnych... Przerzuty, ów początek dramatu nowotworów złośliwych. Dr. Rychłowski informuje mnie o dalszych pracach Zakładu: próba rozpoznania raka sutka drogą badania radiologicznego, bez uciekania się do punkcji i kłopotliwych badań histopatologicznych. Inna dziedzina: badanie tomograficzne układów: krążenia, oddechowego i kostnego i w ogóle udoskonalenie tomografu. (Tomograf jest to lampa rentgenowska z urządzeniem rotacyjnym, przesuwającym się w czasie zdjęcia po linii półkolistej wokół badanego obiektu, co pozwala osiągnąć dużą precyzję zdjęć).

ZAKŁAD prowadzi również doświadczenia na zwierzętach celem ustalenia przydatności klinicznej krajowych środków kontrastowych. Inną grupę badań stanowią próby określenia wpływu promieni na obraz krwi, niezależnie od jednostki chorobowej.

— A czy promienie wpływają na obraz krwi człowieka zdrowego?

— Wpływają silnie, o ile działają stale. Powodują zwykle spadek procentu hemoglobiny i czerwonych ciałek z jednoczesną leukopenią i limfocytozą. tj. wzrostem ilości limfocytów, a zmniejszeniem ilości leukocytów obojętnochłonnych.

Dokończenie ze str. 5

— Co to znaczy w języku zrozumiałym dla zwykłych śmiertelnych?

— To znaczy: anemizacja ustroju i jego odczyn podobny do odczynu przy przewlekłych stanach zapalnych.

— Czy należy stąd wnosić, że lekarze i laboranci rentgenowscy mają taki gorszy obraz krwi?

— Żadnemu prawie nie udaje się tego uniknąć.

Badania zmian we krwi własnego personelu stanowią również przedmiot dociekań. Listę prac naukowych Zakładu zamknę wzmiankowanym już opracowywaniem metod terapii nadciśnienia.

Wszystko co dotychczas powiedziano tyczy „nauki czystej" — o ile taka istnieje — ale niezależnie od teorii i lecznictwa prowadzi Zakład szeroką akcję dydaktyczną. Cosobotnie wykłady dokształcające otwarte są dla wszystkich laborantów, którzy pragną pogłębić swoją wiedzę fachową, prowadzone są zaś na tak wysokim poziomie, że przychodzi na nie wielu lekarzy. Sekretarka Zakładu Ob. Szczepańska i mąż zaufania, Ob. Borowska opowiadają mi szczegółowo i bardzo uprzejmnie o akcji szkoleniowej. Marginesowo wspomnę, że uprzejmość i jakaś atmosfera życzliwości otaczają każdego, kto przestąpi progi Zakładu przy ul. Chałubińskiego. Jak się dowiemy na końcu, cnotę grzeczności zdołano tu wprządz do rydwanu nauki. Ale wróćmy do spraw dydaktycznych...

Odbywa się również akcja szkoleniowa lekarzy, akcja, rzec można czterotorowa, obejmująca primo: cosobotnie zebrania kliniczne, połączone z referowaniem i demonstrowaniem ciekawych przypadków, secundo: comiesięczne zjazdy, organizowane przez koło warszawskie Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, na których radiolodzy i inni lekarze z całej Polski wygłaszają referaty i demonstrują zdjęcia poparte, o ile możności, materiałem histopatologicznym, który stanowi potwierdzenie lub zaprzeczenie słuszności postawionej diagnozy. Tertio: w ramach powstałego w br. Instytutu Doskonalenia i Specjalizacji Lekarzy pod kierownictwem prof. Kasprzaka i doc. Hartwiga istnieją trzymiesięczne kursy internatowe dla radiologów wydające specjalistów pierwszego stopnia. Program kursów obejmuje obowiązkowy staż na anatomii patologicznej i pewną ilość sekcji. Wreszcie quarto: przez tenże Instytut organizowane stypendia dwuletnie, dające specjalistów drugiego stopnia po pięcioletniej praktyce.

Zapytuję dra Rychłowskiego, który odwołany przed chwilą do pacjenta znowu się zjawia między nami, ilu jest dotychczas absolwentów, owych kursów pierwszego stopnia.

— Pierwszy turnus dał sześciu, drugi, będący obecnie w toku da prawdopodobnie również sześciu absolwentów.

— Ależ to strasznie mało, wołam zdziwiony. Na taki brak radiologów, jaki odczuwamy w Polsce!

— To nie jest tak mało, jeżeli wziąć pod uwagę żmudność studiów radiologicznych. Ale jest mało istotnie z punktu widzenia popytu na fachowców.

— Czy to może stanowi dowód, że młodzież lekarska niechętnie się garnie do radiologii?

— Stanowi przede wszystkim dowód, że przygotowanie radiologiczne jest wyjątkowo żmudne, a praca w tym zawodzie wymaga samozaparcia

Tak, myślę, ci ludzie, którzy nas prześwietlają, ludzie, dla których jesteśmy przezroczyści, płacą za postawienie rozpoznania swoim zdrowiem, swoim obrazem krwi, własną krwią. Dziwimy się często i uskarżamy na ich biurokrację, na ich niecierpliwość, na utrudniony do nich dostęp zapominając, że to co może być dla nas prześwietleniem „na wszelki wypadek" — stanowi cząstkę z ich życia. Oczywiście, awansuje to ich w naszych oczach z „pracowników" na „bojowników" służby zdrowia by nie użyć patetycznego określenia: „rycerzy". Jest to jedna z tych dziedzin, w których termin „bohaterstwo pracy" zyskuje najpełniejszy swój wyraz.

Nie dzielę się tymi myślami z dr. Rychłowskim, w rzeczowej z nim rozmowie akcenty zbyt uroczyste nie mieszczą się jakoś. Żegnając się — dziękuję mu tylko serdecznie za dużą ilość godzin, którą mi poświęcił odpowiadając cierpliwie na niekończący się ciąg moich pytań.

— Bo, odpowiada adiunkt, my tu na klinice stosujemy zasady pawłowizmu...

— Wiele słyszałem o pawłowizmie, przerywam, ale nie wiedziałem, że może on mieć coś wspólnego z reportażem.

— Ma to wspólnego, że nakazuje amortyzować międzyludzkie kontakty życzliwością i uśmiechem, odpowiada mi dr. Rychłowski.

Marian Radawiak

Człowiek i czas

JAKIŚ poeta napisał: wszelki czas trwa jednocześnie — w wymiarze, którym jest wieczność.

Taka myśl ma humanistyczne i teistyczne implikacje. Dla człowieka oznaczałoby to, że kiedyś będzie mógł posiąść taki właśnie rodzaj wiedzy o czasie. Dla Boga zaś byłby to zwykły sposób ujmowania rzeczywistości.

Na podstawie tej prawdy mówi się, że Bóg wie, co nastąpi, że widzi przyszłość; w tym znaczeniu przyszłość nie jest dla Niego przyszłością. A także, że zna wszystko, co na stąpiło do tej pory we wszechświecie i w każdym człowieku; w tym znaczeniu przeszłość nie jest dla Niego przeszłością. Człowiek widzi siebie fragmentarycznie, etapami, kolejnymi aspektami. Gdy usiłuje zobaczyć się integralnie, mozoli się w poszukiwaniu wniosku jak nad kolumnami dodawania, mnożenia, odejmowania. Ale pod wpływem łask może mieć błyski ujmowania całościowego. Bóg natomiast widzi nas od razu jako rezultat rachunku. My spoglądamy jak gdyby po kolei w okna poszczególnych pokojów — Bóg zaś staje tak, aby mieć je wszystkie w amfiladzie i widzi wszystkie jednocześnie. My patrzymy na rozłożone widmo światła, Bóg widzi wypadkową wszystkich barw zestrojonych w jeden gatunek światła. Łatwo jest Mu być sędzią. Człowiek nie jest w stanie być sędzią. A „wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć" — nie jest nigdy wykonalne dla człowieka: nie obejmuje on bowiem całego splotu rzeczywistości innej jednostki ani nawet siebie samego, a tylko powinien zdobyć się na akt przebaczenia.

Bóg nie może zapominać ani nie przewidywać. Toteż nie możemy nigdy nic przed Nim „wybielić", twierdząc, że „nie tak było" albo przysięgając, że będzie „zupełnie inaczej"; ponieważ On widzi, bez cienia kolorowania, jak naprawdę było i jak to gra z tym, co naprawdę będzie. Jeśli postępujemy z najlepszą wolą, nie potrzebujemy się martwić, że nasze dobre uczynki zagubią się, ponieważ one trwają. Jeżeli natomiast czynimy źle, bardzo krótkowzroczne jest pocieszanie się, że to było wczoraj, a tamto rok temu; czas nie dotyczy kierunku, na jaki nastawiona jest wola. A nie zawsze równie łatwo zrównoważa się własne zło dobrem, tak jak dobro złem, do czarnej barwy dodaje się czasem białą długo, z ociąganiem, mozolnie, zanim zacznie ona szarzeć i jaśnieć; — białą zaciemnić znacznie łatwiej. Na gwałtowny, radykalny odwrót św. Magdaleny, który przetwarza zło zanurzając je w takich promieniach, że ginie ono jak skazy i rysy na szkle — nie każdy może się zdobyć. A często o własnym złu zapomina się jakby przestało istnieć, zaciera się ono w pamięci, stępia się wrażliwość sumienia, gdy jest ono kneblowane. Ale w świadomości Boga zło nie zaciera się. Istnieje wciąż, ulegając stale dalszym odkształceniom w miarę jak narasta. Jest to proces niby zapadania się z powrotem w grubą, bezkształtną bryłę kamienną wyczyzelowanej boskiej idei indywidualności człowieka, czego symbol można sobie uzmysłowić na tych rzeźbach Rodina, w których jedna część jest niociosaną, śpiącą bryłą, a druga jest wtapiającym się w bryłę mistrzowsko opracowanym we wszystkich wklęsłościach i wypukłościach fragmentem.

Nie warto też pocieszać się, że ci i owi ludzie nie wiedzą o naszym złym postępowaniu. Cóż z tego, że nie istnieje to w tej lub innej świadomości, skoro istnieje jawnie jak otwarta rana — w świadomości Wszechobejmującej? Wszakże od tej tylko opinii zależymy — ta jedna tylko jest i kryterium, i wyrokodawcą.

Czystość, prawość, bezkompromisowość, kryształowość Boga jest ostatecznym kryterium, kryterium kryteriów. Co prawda człowiekowi nie łatwo jest to zrozumieć, ponieważ ograniczony jest własnym złem. Ale w miarę krystalizacji charakteru — albo jak wyraża się Thoreau — w miarę jak przeczyszczają się przewody, które łączą człowieka z Nieskończoną Doskonałością, w miarę postępującej katarsis, wolno mu zbliżać się do Najczystszej Istoty, i wtedy coraz bardziej z bliska patrzy, coraz głębiej rozumie piękno doskonałości, coraz intensywniej czuje jej odblask we własnych źrenicach. Gdy zaczyna oddychać Bogiem, czystość zdaje się krążyć w nim jak krew i zasilać wszystkie funkcje człowieka, indywidualne i społeczne. Wówczas doskonale chwyta „wszystkimi zmysłami" na raz, całym sobą, zachłannie, jak Bóg jest czysty, jak niezamącony i harmoniiny; jak przez to porywający ku Sobie najgłębszą tęsknotę człowieczą, której osobisty wyraz dał św. Augustyn. Włady wciągając ten oddech życia nieskazitelnego w siebie może człowiek ujmować się według tego kryterium, bezczasowo.

Jednak nawet człowiek nie rozwijający się, nie pięknieiący, nie rodzący — może mieć moment poznania istnienia wszelkiego czasu jednocześnie. Mianowicie w chwili śmierci. Często w literaturze spotykamy ten już zbanalizowany fragment, że „cała przeszłość stanęła mu przed oczami". Niekiedy pomniejszy pisarz powtarza to za jakimś innym, nie próbując sięgnięcia do wnętrza tego motywu. Tymczasem w momencie śmierci nie chodzi tylko o proste wspomnienie: umierający stary człowiek widzi siebie w błyskawicznym skrócie filmowym, jako dziecko u kolan matki, w szkole nad książką, wobec kobiety, która została jego żoną, nad zmarłym dzieckiem itd. Nie chodzi o przerażająco martwy schemat: „urodzenie się, rozmnażanie, śmierć". To byłaby zwykła zewnętrzna, trójwymiarowa interpretacja. Moment śmierci, moment rozdzielenia pierwiastka duchowego od materialnego nie mieści się całkowicie w wymiarach tego układu. Poznanie, które odsłania się w chwili śmierci, może być pierwszą fazą poznania duszy bezcielesnej, może być właśnie pierwszym uwolnieniem się od szuflad kowości chronologii i zawodnej pamięci. I wtedy właśnie nie można się już zdobyć na pobłażliwe „errare humanum est", nie można się zdobyć na uśmiech „nadrabiający miną", wszelkie konwencje przestają się liczyć. Świadomość stwierdza w nagłym olśnieniu, że nie istnieją żadne zasłony teoretyczne, uczuciowe, zwyczajowe — i oto całe życie człowieka staje przed nim w jednym momencie. Patrzy on jak na ostre kontury księżyca nagiego, bez atmosfery. Nie potrzebuje on pytać Boga o sąd i wyrok — bo patrzy wówczas jak Bóg. Sąd i wyrok jest dla niego oczywisty, zdrętwiałymi ustami formułuje go sam, zanim odczyta go w źrenicach Boga. Czyż Rodin nie miał podobnego doznania rzeźbiąc Potępioną i Laszczka i tworząc Żal? Jeśli dusza nie zbliża się ku Bogu w czasie, odnajduje teraz w bezczasowości szaloną dysproporcję między m o ż l i w y m (już nierealnie) staniem się doskonałą „jak Ojciec Niebieski" a obecnym jej ciężarem i bezwładem; stwierdza w blasku jaśniejszym niż blask czysto racjonalnej logiki, że n i e m o ż e podejść do Boga. Groza niegodności przykuwa ją do miejsca. Spogląda prosto w Twarz Najdoskonalszemu i czuje, że nie ma mocy przybliżenia jej ku sobie. Wie, że Twarz ta zacznie od dalać się, zasnuwać, niewyraźnieć coraz bardziej i zniknie na zawsze. I wie przerażająco jasno, że to nie jest „kara" — lecz że ze swojej winy nie ma w sobie mocy podejścia ku Najczystszej Doskonałości ani przyciągnięcia jej, że nie ma w sobie Łaski. „Bez was nie mogę was zbawić" — powraca bezwzględnym echem nie jako teza, lecz jako własne, osobiste, ostateczne przeżycie: pożegnanie z Bogiem. Pożegnanie, wobec którego wszystkie rozstania ziemskie były jeszcze blade. To jedno łamie na zawsze. Nie ma już bowiem niczego, w czym się szuka oparcia, nie istnieje oczekiwanie i zmiana. Przeżycie śmierci osoby bliskiej odczuwa człowiek tragicznie; przeżycie śmierci Boga jest największą tragedią. Nadzieja i wiara są tylko w czasie, są dla tych, którzy jeszcze nie widzą, dla tych, dla których jest jeszcze czas. Ujrzenie prawdy czyni bezprzedmiotowym pojęcie wiary — ustanie, czasu zaś czyni bezprzedmiotowym pojęcie nadziei, staja się one pustymi pojęciami. Zostaje tylko człowiek zupełnie sam, tj. byt cierpiący i ciemny, byt otoczony niebytem, wrastający kończeniami w niebyt — zapadający się w bryłę kamienia bez wyrazu. Być może zachodzi ogromny zryw uczuciowy zakochania się duszy ludzkiej w Bogu, którego widzi bez osłon wiary, ale jest to zryw pozbawiony czynu — jest to jak owo wołanie „Panie, Panie", które samo nie jest zdolne otworzyć źródła Łaski.

To byłby więc drugi moment, kiedy człowiek przeżywa eksperymentalnie tezę: wszelki czas istnieje jednocześnie w tej niezmierzonej chwili, która jest wiecznością.

I do tego drugiego momentu odnoszą się jeszcze inne słowa poety: czas jest nie do odzyskania. Wybór, dążenie, zmiana istnieje tylko w czasie: gdy wymyka się nam z rąk czas — zostaje tylko aktualność. Pojęcie możliwości staje się puste, tak jak oparte na nim pojęcie wolności. Jest to niejako ostateczną fazą wolności człowieka, tj. konsekwencją wyboru zaprzeczenia wolności. **J. Z.**

Modlitewnik dla Dorosłych
JEZU DOBRY PASTERZU
Oprawa w płótno
Cena zł. 20.—

Sigrid Undset
OLAF SYN AUDUNA
2 tomy
Cena zł 76.—

Janina Kolendo
SZUKAJĄC DROGI
Cena zł 20.—

Tadeusz Gajcy
UTWORY ZEBRANE
Cena zł 25.—

J. Nowak-Dłużewski
KS. STANISŁAW KONARSKI
Monografia
Cena zł 20.—

Wysyła Biuro sprzedaży „PAX" Mokotowska 43. Warszawa. za zaliczeniem lub po wpłacie na konto PKO nr I-8515 z dodaniem zł 3. — na koszt przesyłki.

Leszek PROROK

»W MAŁYM DOMKU«

SZTUKA zaczyna się niegroźnie. Do schyłku II aktu toczy się lekko. Miejscami zakrawa na komedię, jedną z setek, które ośmieszały życie towarzyskie małomiasteczkowej śmietanki. Reżyser chętnie dobywa posmak groteski z postaci prowincjonalnej sędziny czy osławionego prowizora. I oto przed końcem II aktu wartki nurt sztuki dokonuje niespodziewanego zwrotu. Pryskają elementy komediowej fasady, odsłaniając głęboki dramat ludzki, który go tragizm pogłębiać się będzie do końca spektaklu.

Tadeusz Rittner: „W małym domku"; doktor (Zdzisław Salaburski) i Maria (Irena Maślińska) *fot. Z. Maksymowicz*

Czyżby autora zawiodło wyczucie? Czy trafnie zmieszał odmienne składniki? Zbyt wytrawnym pisarzem scenicznym był Tadeusz Rittner, by mogła w grę wchodzić przypadkowość lub brak przemyślenia.

Prapremiera „W małym domku" odbyła się w 1904 r. Trzydziestoletni z górą pisarz miał już za sobą szereg utworów prozą i prób scenicznych. W opowiadaniu „Przebudzenie" zaatakował wcześniej to samo środowisko, które ukazał w swym wielkim, realistycznym dramacie. Już wtedy dręczyło go natarczywe pytanie: czym jest sprawiedliwość? Pytanie to zawisło również nad losami galicyjskiego lekarza z małego domku. W innym opowiadaniu („Królowa balu") pojawił się motyw kobiety, której psychikę przekształca hołd mężczyzny. Jej dalszym, pełniejszym wcieleniem jest tragiczna postać Marii, zaniedbanej żony lekarza, zdławionej pustką i nudą małego miasteczka.

Nić, wiodąca nieuchronnie do dramatu, wije się od początku sztuki poprzez sceny najlżejsze. Wytycza ją zachowanie Marii, galicyjskiej pani Bovary, odbiegające od światka jej męża. Nieumiejętnością kłamania, pragnieniem prawdy odbija od zgiełku taniej, salonikowej obłudy, hodowanej na konwenansie, który żąda w każdej sytuacji nienagannych pozorów. Maria nie umie i nie chce ukrywać swych uczuć i myśli — zarówno gdy, zaniedbana, jest pośmiewiskiem, jak też gdy rozkwita w perspektywach nowego życia, które obudził w niej zalotami lekkomyślny inżynier, przybysz z wielkiego świata. Walka o prawo do prawdy zrodzi z czasem głupiego Jakuba, bliskiego krewniaka Marii w galerii figur rittnerowskiego teatru.

Wrósł natomiast w mieszczańską moralność pozorów doktor. Nie kocha żony, może nie kochał jej nigdy, lecz konwencjonalnie pojęty honor każe mu karać wiarołomstwo. Pada strzał i pada człowiek. Moralność małomiejskiej socjety lubi melodramatyczne finały skandali, przeto sąd nader łatwo uniewinni poszkodowanego na honorze małżonka. Gdy Karol wróci, by rozpocząć nowe życie w poczuciu pragnienia pełniejszej sprawiedliwości, ten sam konwenans skwapliwie odtrąci go, pokaże mu drzwi zamiast pomocy. Nieszczęśnik pojmie wtedy, że sprawiedliwość świątka, do którego się garnął, jest też tylko jednym z pozorów. Zbrodnię wobec żony oraz swą pomyłkę skwituje w sposób godny pozbawionej absolutnych podstaw laickiej moralności prowizorów, sędziów i im podobnych — drugim, samobójczym strzałem.

W najmniejszym domku mogą rozgrywać się wielkie dramaty i to nawet pod lekką, niemalże komediową przesłoną. Zamierzony mistrzowski kontrast nastroju potęguje tylko siłę zakończenia.

*

OBYCZAJOWY dramat Rittnera odznacza się wypracowaniem psychologicznej charakterystyki postaci. Dbałość o jej pełne wydobycie zaznaczyła się w pracy reżyserskiej Marii Straszewskiej na scenie Teatru Nowego w Poznaniu. Inscenizacja obfitowała w trafne, przekonujące rozwiązania sytuacyjne. W pierwszym rzędzie zaliczyć do nich należy realizację trudnej zbiorowej sceny przyjęcia w II akcie. Dbałość o realizm psychologiczny konfliktów i ich osadzenie w środowisku harmonizowała z rittnerowską precyzją kompozycji.

Na czoło kreacji aktorskich wysunęła się Irena Maślińska w roli Marii. Największą pochwałą dla artysty jest, jeśli się wierzy jego scenicznym przeżyciom. Przemiana „incomprise-y" w rozkochaną kobietę, zdolną do rozpoczęcia życia od nowa, skłaniała do tej wiary. Metamorfozę podkreśliła Maślińska wszystkimi środkami, obok mimiki również ukazaniem wielkiej skali możliwości intonacyjnych. Nawet najdrobniejsze słówka z II aktu kontrastowały pragnieniem życia z szarzyzną mowy Marii w akcie I-szym.

Zdzisław Salaburski jako doktor nie dotrzymywał kroku partnerce. Trudność tej roli leży w dwoistości charakteru; nie każdy potrafi zarysować ją wyraziście. Odtwórca posłużył się w tym celu śmiechem i miejscami go nadużył. Sukcesem Salaburskiego stał się natomiast akt III. Pamięć o zbrodni prowadzi tu do konfrontacji postaw moralnych. Artysta był tu nierównie głębszy. Wytrzymał odnalezioną właściwą tonację gry do końca, dał wymowną niemą scenę wspomnienia Marii tuż przed samobójstwem.

Z. Józefowicz, znany do tej pory z ról b. młodzieńczych, przedstawił ciekawą sylwetkę nauczyciela Sielskiego. Przeniesiony jakby ze świata bohaterów Dostojewskiego pozytywny rezoner morału sztuki, odtworzony został z dojrzałą ekonomią środków i powściągliwością. Na tle podobnych do siebie gości doktora dało to człowieka wyrazistego, manifestującego wiarę w etyczne wartości. Rolę Wandy, siostry Marii, otrzymała B. Bieńkowska. Szkoda, że warunki zewnętrzne i interpretacja postaci zatarły dystans lat między siostrami, jaki wynika z tekstu.

T. Pluciński (inżynier) powtórzył błąd Władka z „Ruchomych piasków". Był zbyt nowoczesny w sposobie bycia na tle salonu z przed 50 lat, za mało też odbijał od miejscowych manier. Przyjaciel jego, prowizor (St. Ptak), wygrał dozwolone w intencji autorskiej motywy humorystyczne, ilustrujące trafnie oblicze środowiska, zatrzymał się szczęśliwie na pograniczu groteski przerysowanej. J. Kordowski jako sędzia dał postać naturalną i przekonującą; afektacja jego żony (B. Frejtażanki), do przyjęcia w akcie II, raziła w ostatnim.

Nie dopisały dekoracje T. Kallnowskiego, gubiące dystans półwiecza i cechy charakterystyczne małych prowincjonalnych domków tego rodzaju. Trapezoidalne drzwi na werandę kłóciły się wyraźnie z innymi realiami sceny i przedstawianą epoką.

W ostatecznym obrachunku inscenizację „W małym domku" liczyć można do udanych osiągnięć sezonu.

Tajne archiwa hitlerowskie

(Dokończenie ze str. 2)

Czechosłowacji. Hitlerowcy stosowali metodę stopniowego zwiększania swych żądań, aby przedwczesnym odkryciem kart nie narazić swych partnerów zachodnio-europejskich na konieczność czynnego wystąpienia, pod naciskiem opinii publicznej, w obronie Czechosłowacji w jednym szeregu ze Związkiem Radzieckim. Rządy londyński i paryski manewrowały, aby zaspokoić pretensje hitlerowskie w formie dla siebie najdogodniejszej, wykorzystując w tym celu rzekomą obronę interesów Czechosłowacji, ale taktykę tę prowadziły niezmiernie ostrożnie, nie chcąc dać się wciągnąć w konflikt zbrojny z Niemcami.

Ostatecznie Hitler musiał się zgodzić na otrzymanie Sudetów z rąk mocarstw zachodnich na Konferencji Monachijskiej. Ale tak to rozegrał taktycznie, aby podkreślić, że za pomocą stawiania ultimatum zmusił państwa zachodnie do ustąpienia przed siłą Niemiec. W tych rozgrywkach wewnętrznych w obozie imperialistycznym tkwi źródło tego, że antyradziecka ugoda monachijska nie dała spodziewanych owoców i doprowadziła w dalszym rozwoju wypadków do II wojny światowej.

W omawianych trzech tomach „Tajnych archiwów Wilhelmstrasse" znajdujemy bardzo mało dokumentów dotyczących polskiej polityki zagranicznej w tym okresie. Te, które zostały w nich ogłoszone, dotyczące przede wszystkim stanowiska rządu sanacyjnego w sprawie czechosłowackiej, potwierdzają ogólnie znany fakt czynnego popierania przez Becka agresywnej akcji hitlerowskiej wobec Czechosłowacji. Sprawa stosunków polsko-niemieckich w latach 1936-1938 ma być zilustrowana dokumentami, które będą ogłoszone w tomie IV omawianego wydawnictwa. Powrócimy niechybnie do niego, gdy zostanie on już wydany.

Szymon Dereń

Opowiadania o ludziach z tajgi

Wiaczesław Szyszkow, autor znanych polskiemu czytelnikowi powieści „Rzeka posępna" i „Jemielian Pugaczow", pisze w swej autobiografii: „W ciągu dwudziestoletniego pobytu na Syberii obcowałem z jej przyrodą i ludźmi, podziwiając ich ciekawą i bogatą różnorodność. Od wczesnej wiosny do śniegów odbywałem swoje coroczne podróże (jako inżynier-budowniczy. Przyp. G.K.) po rzekach Irtyszu, Obi, Bii, Katuni, Jeniseju, Czułymie, Lenie, Dolnej Tunguzce i Angarze. Podróże te dostarczyły mi różnorodnego materiału obyczajowego"

Ten materiał obyczajowy wykorzystał później Szyszkow w licznych opowiadaniach, które na naszym rynku księgarskim ukazały się pod wspólnym tytułem „Tajga" *). Książkę wydano przed dwoma laty, ale warto ją przypomnieć nie tylko ze względu na osobę jej twórcy (odznaczony Nagrodą Stalinowską I stopnia W. Szyszkow urw r. 1873, zmarł w roku 1945; mija więc obecnie osiemdziesiąta rocznica jego urodzin), ale także biorąc pod uwagę specyfikę tematu, którym jest życie mieszkańców Syberii za caratu, w okresie tworzenia się Kraju Rad i wreszcie — w czasie wojny z najeźdźcą faszystowskim.

W roku 1917 ukazała się powieść Szyszkowa pt.: „Tajga", która zyskała sobie pochlebną opinię Maksyma Gorkiego. Opisuje ona twarde i pierwotne niemal życie dwóch wsi syberyjskich, położonych w sercu tajgi. Mieszkańcy tych wsi, zajmujący się więcej myślistwem niż rolnictwem, toczą nieustanną walkę z przyrodą, z tajgą, która z karmicielki stawała się nieraz wrogiem — byli „pełni gniewu i zawiści w pragnieniu cudzej krzywdy, żyli tępym życiem zwierząt, nie zastanawiając się i nie protestując, nie odróżniając zła od dobra, bez kierunku, bez rozwagi..." Mieli swoiste, wypaczone przez swe ciężkie życie, poczucie równości. Jeśli któremuś z nich zaczynało się wieść lepiej, krzywdzili go, aby nie wyzwolił się ze wspólnej niedoli. Straszne były prawa mieszkańców tajgi, ale może straszniejsze te, wskutek których do ich wsi przyjeżdżali zesłańcy polityczni. Takim zesłańcem jest Andrzej. Andrzej widzi beznadziejność bytowania chłopów syberyjskich, ale nie może im pomóc. Jest pod nadzorem policyjnym, jego powiernikiem może być tylko tajga, no i Anna... Anna jest wprawdzie tutejszą chłopką, ale miłość do Andrzeja pozwala jej zrozumieć wiele spraw, niedostępnych umysłom współbraci. Niby Katarzyna z „Burzy" Ostrowskiego jest ona pełna złowrogich przeczuć, tęsknot za innym, lepszym życiem: „Ciężko tak się robi... Jakby ktoś dokądś wołał... Ech, myślisz, gdybym siłaczem była, chwyciłabym ogromne siekierzysko i hajda, tajgę walić... Wyrąbałabym dróżkę prościuteńko na jasny świat..." Ileż męki, niedoli i bólu przejdą jeszcze Anna i Andrzej, zanim po długiej rozłące znajdą się razem wobec płonącej tajgi. „Życie nasze — jak tajga — mówi Andrzej — Dzika tajga, przepastna, pełna zwierza i robactwa. A ileż w niej wszelkiego dobra... Cóż tedy trzeba zrobić, żeby w tajdze nie było strasznożyć, żeby całe dobro wydobyć na wierzch, na pożytek ludziom?" Wspaniały opis pożaru tajgi urasta w koncepcji Szyszkowa do rozmiarów potężnego symbolu — obrazu rewolucji. Niby końcowy akord symfonii o tajdze-Rusi brzmią słowa pełne afirmatywnej wiary w ostateczne zwycięstwo: „Ogniem się oczyścisz i wybielisz. W łzach utoniesz, ale będziesz wywyższona".

W dalszych opowiadaniach z okresu przedrewolucyjnego (jak „Pomodlili się", „Krala", „Purga" czy też „Czarna godzina") przesuwają się przed nami postacie poniżanych lub wyzyskiwanych Tunguzów i Sybiraków, z których jednego tak charakteryzuje autor: „W tej chwili ujrzał przed sobą cały swój katorżniczy los, od lat najmłodszych do ostatniego miesiąca, całe rosyjskie chłopskie życie. Brak ziemi, głód, nędza. A naokoło choroby, śmierć, ciężki, niepotrzebny znój dla kawałeczka chleba. Jedyna radość — to karczma carska. I jedyna radość — to pętla na kark. Po co się urodził, po co żył, ślepy i ciemny?"

Dalej widzimy reprezentantów klasy wyzyskującej — „uriadników" i kupców. Wreszcie trzecia kategoria — ludzie dobrzy z gruntu i uczciwi, ale słabi i chwiejni; widzą zło, ale nie umieją mu zapobiec. Szczególnym jednak zainteresowaniem i sympatią darzy autor tych mieszkańców Syberii, którzy są nie tylko z tajgą za pan brat, jak Leontij Bakłanow — „wilk z tajgi" — znakomity myśliwy i „poszukiwacz prawdy" — nie tylko nie boją się zmierzyć z dziką bestią, ale nie pozwolą również oszukiwać się kupcom i urzędnikom. Walory znakomitego znawcy tajników syberyjskiej puszczy, prymitywna ale zdrowa filozofia, oparta na swoistym odczuwaniu piękna i praw przyrody, odwaga i prawość charakteru — oto cechy ludzi typu Bakłanowa. W ogniu wojny domowej hartowali się Bakłanowowie odnajdując swe miejsce nie tylko w tajdze jako przewodnicy drużyn partyzanckich, ale i w historii jako świadomi swych zadań proletariusze. Taki jest młodziutki Iwan Pietrow, „żołnierz rosyjski, marynarz bałtycki, Sybirak", który w dniach wojny z najeźdźcą faszystowskim, w obliczu ukochanego Ałtaju przysięga swej ojczyźnie, że będzie jej bronił do ostatniej kropli krwi... Takim świadomym swych zadań obywatelem jest również dziad Nikita, stary myśliwy i wojak, który przywożąc żołnierzom na front podarki i żywność z Syberii, mówi: „Daleko jest moja ojczyzna Syberia, ale nie tylko o nią jedną chodzi... Skończyły się czasy, kiedy się siebie żałowało. Ojczyzny żałuj, nie siebie. Umrzyj, obroń ziemię ojczystą. Ale zły to wojak, który zamierza umrzeć... Oto mam sześćdziesiąt trzy lata, a jeszcze z trzydziestoletnim wezmę się za bary. I postanowiłem, że dopóki wojna się nie skończy, dopóki wroga nie zniszczymy, nie wrócę na Syberię".

Czytając pełne realizmu opowiadania Szyszkowa o życiu w tajdze, trzeba pamiętać, że autor ich, zanim został pisarzem, był inżynierem.

W swej biografii pisze on: „Dwa lata przebywałem na Syberii jako kierownik ekspedycji, która badała trakt czujski, przecinający Ałtaj od Bijska do granicy mongolskiej. W wyniku tych badań trakt ten już w czasach radzieckich został przebudowany według mojego projektu".

Dlatego nie znajdziemy w skądinąd pełnych uroku i plastyczności opisach tajgi Szyszkowa jałowej kontemplacji i bezprzedmiotowych zachwytów nad pięknem syberyjskich krajobrazów. Tajga w utworach Szyszkowa jest zawsze tylko tłem, na którym działa człowiek. Urodzeni w tajdze, zahartowani przez jej surowy klimat i ciężkie warunki życia — Sybiracy wykazali swe niezwykłe zdolności w dniach wojny domowej, w okresie obrony kraju przed faszystami — nie zawodzą również i w pokojowym budownictwie, kiedy idzie o plany przeobrażenia przyrody niezdobytej niegdyś tajgi.

G. K

*) Wiaczesław Szyszkow — Tajga — Przekład K. Truchanowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa 1951. Stron 586.

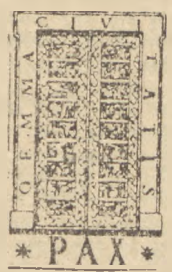

Jerzy Krzysztoń
OPOWIADANIA INDYJSKIE
Cena zł 22.—

Zbyszko Bednorz
DZIECI I BAGAŻE
Cena zł 15.—

Maciej J. Kononowicz
W RAMIONACH SREBRNYCH RZEK
Cena zł 15.—

Georges Bernanos
RADOŚĆ
Cena zł 20.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX", Mokotowska 43, Warszawa, za zaliczeniem lub po wpłacie na konto PKO Nr I-8515 z doliczeniem zł 3 na koszt przesyłki.

Janusz OSTASZEWSKI

W sprawie mitu o »jasnowłosym nadczłowieku«

(Kilka uwag polemicznych)

TADEUSZ Bielicki przypomniał nam niedawno niesławną stuletnią rocznicę wydania dzieła hr. Gobineau „O nierówności ras ludzkich". Rocznica ta dała asumpt do napisania ciekawego i wartościowego artykułu (Mit o „jasnowłosym nadczłowieku" — Dziś i Jutro Nr. 13 388 z dn. 3 maja 1953 r.).

Mając na względzie walory wspomnianego artykułu oraz zasadnicze znaczenie poruszonych w nim zagadnień— warto poświęcić mu kilka uwag o charakterze uzupełniającym i polemicznym.

GOBINEAU — I POLITYKA KOLONIALNA

Na wstępie — uwaga polemiczna. T. Bielicki nazywa ukazanie się książki Gobineau: jednym z najbardziej brzemiennych w skutki a zarazem najbardziej ponurych wydarzeń, jakie zna historia nauki. „Księga ta miała w przyszłości — czytamy nieco dalej — straszliwie zaważyć na losach Europy, a rola, którą jej do odegrania przeznaczyła historia, miała się okazać rolą wyjątkowo krwawą i ponurą".

Jest dużo przesady w tym demonizowaniu dzieła hr. Gobineau.

Na losach Europy zaciążyły i zdecydowały o nich oczywiście elementy jej rozwoju społeczno-gospodarczego. Hitleryzm wraz ze swą rasistowską doktryną był jedną z form, w których wyraził się rozkład kapitalizmu w jego imperialistycznym stadium, a nie wynikiem demonicznego działania pseudonaukowych elukubracji hr. Gobineau.

Nie zamierzam oczywiście negować wpływu poglądów Gobineau na kształtowanie się doktryny rasistowskiej. Ale i w tym zakresie należy wystrzegać się przesady.

Gobineau, pisząc swe dzieło, chciał udowodnić, że wraz z mieszczaninem francuskim bierze we francuskim życiu politycznym i społecznym górę „rasowy mieszaniec" nad „czystym nordykiem", wysokim, jasnowłosym i długogłowym arystokratą.

O tym, że wydane w połowie XIX wieku dzieło, mające na celu obronę interesów stanowych arystokracji francuskiej, zyskało szczególną popularność w końcu XIX stulecia i to zwłaszcza w Niemczech — zadecydowała, że użyję określenia T. Bielickiego, przydatność polityczna.

Drugie wydanie książki Gobineau ukazało się w r. 1884, pierwsze zaś niemieckie wydanie w r. 1897. A. Schreiner w swej pracy poświęconej historii niemieckiej polityki zagranicznej zwraca słusznie uwagę, że jest to właśnie okres, w którym dokonuje się „ostateczny podział świata" między wielkie mocarstwa oraz zagarnięcie terenów kolonialnych przez Niemcy wilhelmińskie (Albert Schreiner: Zur Geschichte der deutschen Aussenpolitik 1871 — 1945. Tom I. Berlin 1952, str. 222).

W latach 1876 — 1914 obszar kolonii wielkich mocarstw wzrósł z 40,4 milionów km² do 65 milionów km², to znaczy o 60%. Niemcy, które na początku tego okresu kolonii wcale nie posiadały — w r. 1914 miały 2,9 milionów km² terenów kolonialnych. W r. 1882 z inicjatywy księcia Hermana zu Hohenlohe-Langenburg powstało Niemieckie Towarzystwo Kolonialne, skupiające pomniejsze stowarzyszenia tego rodzaju, które rozmnożyły się w latach 1878 — 1882. Na r. 1884 (rok ukazania się drugiego wydania dzieł Gobineau) przypada pierwsze walne zebranie Towarzystwa Kolonialnego oraz przejęcie pod władzę Rzeszy pierwszej niemieckiej kolonii w południowo zachodniej Afryce.

Dzieło Gobineau, mówiące o nierówności ras ludzkich i o niższości ludów kolorowych, zyskało w tym okresie nową żywotność i aktualność, jako teoretyczne „usprawiedliwienie" polityki kolonialnej.

OD GOBINEAU DO ROSENBERGA

OMAWIAJĄC proces „dojrzewania" niemieckiego rasizmu i kształtowanie się rasistowskiej doktryny narodowego socjalizmu, który zrobił zeń „oficjalnie uświęconą i obowiązującą ideologię państwową" — słusznie wskazuje T. Bielicki, że filozofia Nietzschego stworzyła odpowiedni dla rozwoju rasizmu klimat moralny. Nie wspomina on jednak o dwóch zjawiskach, które w sposób bardziej bezpośredni niż dzieło hr. Gobineau wpłynęły na narodowo-socjalistyczne ujęcie rasizmu. Mam tu na myśli dzieło Chamberlaina o „Podstawach XIX stulecia" (Die Grundlagen des 19. Jahrhunderts) oraz poglądy szerzone przez Związek Wszechniemiecki (der Alldeutsche Verband).

Anglik Houston Stewart Chamberlain ogłosił swoje osławione dzieło w dwa lata po ukazaniu się pierwszego niemieckiego przekładu książki hr. Gobineau, tzn. w r. 1899. Do wybuchu pierwszej wojny światowej ukazało się dziesięć wydań niemieckich, w r. 1909 ukazał się przekład czeski, w r. 1911 angielski (równocześnie w Anglii i Ameryce), w r. 1913 francuski. W czasie wojny wyszły cztery wydania. Po wojnie wydano w Niemczech dzieło Chamberlaina w r. 1922 oraz drugi raz na rok przed dojściem Hitlera do władzy (1932).

Chamberlain uważa, że „cała nasza dzisiejsza cywilizacja i kultura jest dziełem jednego określonego rodzaju ludzkiego: Germanów. Nie jest prawdą, że germański barbarzyńca spowodował „noc Średniowiecza", noc ta — wprost przeciwnie — była konsekwencją intelektualnego i moralnego bankructwa bezrasowego chaosu ludzkiego rozprzestrzenionego przez upadające imperium rzymskie: bez Germanów wieczna noc zapadłaby nad światem..."

Alfred Rosenberg — najbardziej miarodajny narodowo socjalistyczny teoretyk rasizmu — z najwyższym uznaniem podkreśla znaczenie Chamberlaina. „O tym, że wszystkie państwa zachodnie i ich twórcze wartości zostały stworzone przez Germanów, mówiło się powszechnie już od dawna — stwierdza Rosenberg — ale nikt przed H. St. Chamberlainem nie wyciągnął stąd koniecznych wniosków. Musiały on bowiem prowadzić do stwierdzenia, że w przypadku całkowitego usunięcia krwi germańskiej z Europy... upadłaby zarazem cała kultura zachodnia". (Alfred Rosenberg: Der Mythus des 20. Jahrhunderts, str. 81).

Charakterystyczne jest przy tym, że Rosenberg, który w swoim „Micie XX stulecia" wielokrotnie cytuje Chamberlaina — ani razu nie wspomina Gobineau. Chamberlain zresztą o poglądach francuskiego arystokraty mówi lekceważąco, zarzucając mu brak podstaw naukowych i mętniactwo (przyganiał kocioł garnkowi...)

Chamberlain rasę germańską pojmował szeroko. „Teoretycy" Związku Wszechniemieckiego zwęzili i skonkretyzowali to pojęcie: narodem panów (Herrenvolk, Führerrasse), narodem, który dzięki swej wyższości przeznaczony jest do panowania nad światem (Weltherrschaft), jest według nich naród niemiecki. Prof. Dr Kuhlenbeck referując w r. 1905 na Wszechniemieckim Zjeździe „Polityczne wyniki badań rasistycznych" stwierdził, że miarą wartości rasowej narodów jest udział krwi germańskiej. A ponieważ naród niemiecki „jak wiadomo" posiada najwyższy udział krwi germańskiej, zatem stanowi najszlachetniejszą rasę.

Publicyści Związku Wszechniemieckiego ze szczególną nienawiścią podkreślali „niższość rasową" Polaków i Żydów. Antysemityzm wzmógł się szczególnie od r. 1908, kiedy to przewodniczącym Związku wybrany został H. Class. Mówi on z dumą w swoich „Wspomnieniach", że był pierwszym zdecydowanym antysemitą w kierownictwie Związku.

Inny czołowy działacz Związku Wszechniemieckiego, E. Hasse, stawia następujące pytanie: „Kto ma wykonywać w przyszłości ciężkie i brudne roboty, których wymaga jednak opierająca się na podziale pracy gospodarka narodowa?" W odpowiedzi na to pytanie daje Hasse alternatywę: albo trzeba pewną określoną część narodu niemieckiego utrzymać na najniższym poziomie, albo też należy „skazać na los helotów... innych Europejczyków obcego pochodzenia, a więc Polaków, Czechów, Żydów, Włochów itd." Hasse skłania się do drugiego „rozwiązania". Obawia się tylko, by nie wpłynęło to negatywnie na czystość rasową narodu niemieckiego oraz stawia jako warunek utrzymanie tych Europejczyków obcego pochodzenia — tak poszczególnych jednostek, jak i całych pokoleń — trwale na poziomie helotów. (E. Hasse: Deutsche Politik. Tom I, Zeszyt 1, str. 61).

„Wyższość rasy niemieckiej i jej szczególne uzdolnienie do panowania nad światem" — to w programie Związku uzasadnienie marzeń o zdobyciu świata, uzasadnienie zamierzeń niemieckiego imperializmu. To też do słownika narodowo-socjalistycznego weszły liczne określenia stworzone przez jego poprzedników ze Związku Wszechniemieckiego, jak np: „Führerrasse, Völker minderer Rasse, Weltherrschaft, Völkische Hochzucht des deutschen Volkes, Landhunger...

Związek Wszechniemiecki przetrwał aż do marca 1939 r., kiedy to zarządzeniem Himmlera został rozwiązany. (Dane dot. Związku Wszechniemieckiego wg.: Jürgen Kuczynski — Studien zur Geschichte des deutschen Imperialismus" Tom II. Berlin 1950, str. 9—116).

POPRZEDNICY GOBINEAU

SKORO tyle powiedziałem o następcach Gobineau, trzeba też słów parę poświęcić i jego poprzednikom. Bowiem Gobineau nie był bynajmniej pierwszym, który postawił tezę o wyższych i niższych rasach.

Już w Średniowieczu Said z Toleda mówi o wyższości rasowej Arabów nad Europejczykami. Japończycy w odwiecznych mitach stworzyli uzasadnienie swej wyższości nad innymi narodami. Średniowieczne francuskie fabliaux i chansons de geste uważają chłopów za niższą rasę. Hr. de Boulainvilliers w swojej „Histoire de l'ancien gouvernement de France" (1728) mówi o germańskim pochodzeniu szlachty i jej rasowej wyższości nad chłopami, będącymi pochodzenia celtycko-romańskiego. W Polsce szlacheckiej — niższość chłopa wiązano z jego pochodzeniem od Chama (syna Noego). Lewestam pisał w r. 1841: „Mamy dziś może między naszą szlachtą kilka rodzin, które nie pochodzą od Lachów, lecz między chłopami nie ma ani jednej lechickiej familii. I chłopi pamiętają, że szlachta nie z ich ludu pochodzi" (Pierwotne dzieje Polski). Niższości rasowej ludów kolorowych, szczególnie zaś Murzynów, poświęcona była cała dość obszerna literatura.

AKTUALNOŚĆ ZAGADNIENIA

PRÓBY uzasadnienia prawami naturalnymi uprzywilejowanej pozycji jednych warstw i stosowanego przez nie wyzysku w stosunku do innych warstw (czy narodów), żyjących w nędzy i ucisku — mają określoną treść klasową. Dlatego też historia współczesnego rasizmu wiąże się tak ściśle z historią imperialistycznego stadium kapitalizmu. I dlatego zjawisko amerykańskiego „supermana", o którym pisze w swym artykule T. Bielicki, nie jest na tle imperialistycznych tendencji USA czymś niespodziewanym i dziwnym.

Sytuacja w USA w r. 1953, taka, jak ją trafnie scharakteryzował T. Bielicki — jest tragiczną odpowiedzią na te pytania.

Dopóki istnieć będzie imperializm i jego dążenie do zawładnięcia światem w imię interesów monopolistycznego kapitału, dopóty zagadnienie „mitu nadczłowieka" i „mitu rasy panów" zachowa w tej czy innej formie swą ostrą aktualność.

Stanisław MECHOWICZ

Rasizm, kościół, etyka

W numerze 18 „Dziś i Jutro" ukazał się niezwykle interesujący artykuł Tadeusza Bielickiego pt. „Mit o jasnowłosym nadczłowieku", zawierający krytykę koncepcji rasistowskich. Świetny ten artykuł, pisany z wielką pasją i polotem, a jednocześnie nader rzeczowo i ze znajomością tematu dowodzącą fachowca, zahaczył wreszcie o wagę palącą problematykę, która mimo całej swej aktualności wciąż jeszcze bardzo niedostatecznie spopularyzowana jest wśród ogółu katolickiego w Polce. Tym bardziej tedy żałować trzeba, że czyni to w sposób niepełny.

Bielicki przeprowadza merytoryczną krytykę rasizmu z punktu widzenia biologii i psychologii, trafnie wskazuje na metodologiczną fałszywość niektórych jego tez; przekonywająco i jasno pokazuje klasowe, polityczne kulisy doktryny; przechodzi jednak całkowicie do porządku dziennego nad moralnym aspektem całej sprawy. W szczególności pomija autor zupełnym milczeniem rzecz o wyjątkowej dla katolika doniosłości — mianowicie zagadnienie stosunku etyki katolickiej do ideologii rasistowskich. Jeżeli nawet bliższe naświetlenie tego zagadnienia uważał Bielicki za rzecz wychodzącą tematycznie poza ramy swego artykułu, należało o nim bodaj marginesowo, w kilku — dosłownie — zdaniach wspomnieć i właściwie ustawić. O sprawie tej pisze się bowiem u nas stanowczo za mało, właściwie *nic* się nie pisze. A to niedobrze. Trzeba sobie koniecznie jasno zdać sprawę z faktu, że rasizm kwitnie dziś w najlepsze nie gdzie indziej jak właśnie w szeregu krajów chrześcijańskich; przywódcy ideowi i polityczni tych krajów są przeważnie katolikami, a przynajmniej takowymi się mienią na każdym kroku; ludzie ci w cyniczny sposób łączą postawę cichej aprobaty wobec polityki rasistowskiej — ba, często biorąc nawet kierowniczy, czynny w tej polityce udział — z obłudnie lecz hałaśliwie przez siebie głoszonymi zasadami moralności chrześcijańskiej. Okolicznością najbardziej w tym wszystkim tragiczną jest to, że pewne odłamy duchowieństwa w tych krajach nie potrafią się zdobyć na energiczniejszy protest i użyć autorytetu Kościoła do walki z dyskryminacją rasową; zbyt często, niestety, duchowieństwo to zachowuje wobec ekscesów rasistowskich postawę niefrasobliwie obojętną, czasem niemal „życzliwie milczącą". Te smutne, lecz bezsporne fakty stwarzają u wielu ludzi wrażenie, jakoby kwestia dyskryminacji rasowej w ogóle wykraczała poza krąg duszpasterskich zainteresowań i kompetencji Kościoła, a nawet jakoby Kościół taką dyskryminację sankcjonował; zdarzało się wreszcie nieraz w przeszłości i zdarza się obecnie, że apologeci rasizmu przy motywowaniu swej doktryny ośmielają się powoływać na... Pismo Święte. Otóż ta potworna mistyfikacja wymaga z naszej strony szczególnie niedwuznacznego i bezkompromisowego stanowiska. Rasizm w jakiejkolwiek postaci jest koncepcją nie tylko, jak tego dowodzi Bielicki, bezpodstawną empirycznie; jest on również sprzeczny z dogmatyką katolicką, a jego stosowanie w praktyce społecznej łamie w jaskrawy sposób kardynalne zasady etycznego światopoglądu katolika. Ktokolwiek świadomie głosi pogląd o biologicznej i psychicznej nierównowartościowości gatunku ludzkiego, ten popada w sprzeczność z nauką Chrystusa i automatycznie wyklucza się z szeregów członków Kościoła — bez względu na to, jak głośno i szumnie szermować będzie frazesami o Bogu, moralności i miłości bliźniego. Tę sprawę trzeba postawić na ostrzu noża. Katolik bowiem dysponuje przeciw dyskryminacji rasowej nie tylko naukową, tzn. przyrodniczą i społeczną, lecz także, a nawet przede wszystkim, światopoglądową, moralną, dogmatyczną argumentacją. To właśnie przemilcza w swym artykule Bielicki; a jest to wszak sprawa nie błaha i nie może być w tej dziedzinie żadnych niedomówień.

SZUI-HU-CZUAN

(Dokończenie ze str. 4)

ki". Odtwarzając — w doskonałej formie artystycznej — szereg partykularnych ostatecznie w skali państwowej perypetii bandy „Sprawiedliwych Zbójców", „Opowieści..." dały w istocie portret całej swej epoki zgodnie z zasadą „w sprzecznościach — ogólne istnieje w szczególnym", realizując tym samym postulat typowości w dziele literackim.

Książka wydana została bardzo starannie, opracowanie polskie tekstu nie nasuwa istotnych zastrzeżeń, zaś przedmowa wszechstronnie wprowadza w problematykę utworu oraz czas, z którego się on wywodzi. Szkoda jedynie, iż nie podano pochodzenia zamieszczonych w powieści ilustracji.

Ogólnie biorąc, wydanie „Opowieści znad brzegów rzek" stanowiło przedsięwzięcie bezwzględnie celowe i pożyteczne; miejmy nadzieję, iż zapoczątkowało ono systematyczne publikowanie przekładów z literatury chińskiej. Co więcej, z uwagi na rozmiar zadania wydaje się, iż winna powstać przy którymś z wydawnictw osobna pracownia, celem realizacji konkretnego programu w tej dziedzinie.

Zbigniew Kuthan

Kilka słów o:

INAUGURACJA OBCHODÓW ROKU KOPERNIKOWSKIEGO

W prastarym polskim mieście Fromborku, gdzie Mikołaj Kopernik spędził większą część swego życia i gdzie ukończył swe wielkie dzieło „O obrotach ciał niebieskich", odbyła się w dniu 24 maja uroczysta inauguracja obchodów Roku Kopernikowskiego.

Na uroczystość przybył Prezes Rady Ministrów Bolesław Bierut, członkowie Rządu, członkowie Komitetu Honorowego Roku Kopernikowskiego, przedstawiciele stronnictw politycznych, organizacji masowych i świata nauki.

W tym samym dniu w Warszawie odbyło się uroczyste złożenie wieńców u stóp pomnika Mikołaja Kopernika. W imieniu Rządu wieńce złożyli: min. Szkolnictwa Wyższego — A. Rapacki, Szef Urzędu Rady Ministrów — min. K. Mijal, min. Oświaty — W. Jarosiński, min. Poczt i Telegrafów — W. Szymanowski oraz wiceminister Szkolnictwa Wyższego — H. Golański. W imieniu Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju wieniec złożyli członkowie P.K.O.P. Z. Wasilkowska i red. naczelny tygodnika „Dziś i Jutro", D. Horodyński.

ODSŁONIĘCIE POMNIKA STEFANA ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

W dniu 24 bm. w Parku Miejskim im. Stefana Żeromskiego w Kielcach odbyła się uroczystość odsłonięcia pierwszego w Polsce pomnika Stefana Żeromskiego — wielkiego syna Ziemi Kieleckiej. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele Wojewódzkiej Rady Narodowej, organizacji politycznych, społecznych i kulturalnych oraz liczne rzesze społeczeństwa kieleckiego. Na zakończenie uroczystości u stóp pomnika złożono wieńce i wiązanki kwiatów.

Muzyce

OPERY I BALETY W MOSKWIE

Moskiewski Teatr Wielki wystawił w nowej inscenizacji opery: „Książę Igor" A. Borodina i „Demon" A. Rubinsteina. Wielki sukces odniosła też premiera popularnego baletu Czajkowskiego „Jezioro Łabędzie". Do baletu włączono nieznane dotychczas fragmenty muzyczne i baletowe, odnalezione niedawno w archiwach wielkiego kompozytora.

CIEKAWY PROGRAM OPERY ŚLĄSKIEJ

Państwowa Opera Śląska przygotowuje w bieżącym roku szereg ciekawych premier. W najbliższym czasie odbędą się — premiera opery Rudzińskiego „Janko Muzykant" i premiera baletu Prokofiewa „Kopciuszek". Dalszy plan przewiduje operę „Fra Diavolo" Aubera.

„HALKA" — NA SCENIE CHARKOWSKIEJ

Charkowska Opera im. Łysenki wystawiła „Halkę" Moniuszki w reżyserii W. Sklarenko. Stroną muzyczną zajął się znany dyrygent P. Balenko. Partię Halki śpiewa T. Burcewa, Jontka — H. Borowoj. Pozostałe role zostały obsadzone przez najlepszych artystów charkowskiej opery.

filmie

W OBRONIE NARODOWEJ KINEMATOGRAFII

Projekt stworzenia wspólnej europejskiej produkcji filmowej, który w najbliższym czasie wchodzi pod obrady francuskiego parlamentu, spotkał się ze stanowczą opozycją deputowanych komunistycznych oraz wszystkich postępowych i znanych reżyserów.

Projekt ten jest bardzo popierany przez Amerykanów, którzy pragną nakręcać swoje filmy w Europie, gdzie koszty produkcji są dużo niższe. Jest to więc nowa inwazja Hollywodu mająca na celu zlikwidowanie kinematografii francuskiej i włoskiej. Jak bowiem wykazało dotychczasowe doświadczenie, filmy nakręcane wspólnie przez dwa lub więcej krajów są raczej słabe. Przykładem niech tu będą dwa filmy: amerykańsko-włoski de Sici, „Stazioni Termini" i włosko-francuski, „La maison de silence", wspólne dzieło Zavattiniego i Pabsta.

Nie ulega wątpliwości, że najbardziej wartościowe są filmy o charakterystycznych cechach narodowych. Dowiódł tego ostatni Festiwal w Cannes, gdzie właśnie doskonały film francuski „Cena strachu" zdobył Wielką Nagrodę.

NOWE FILMY DEFY

W maju zaczęto realizację czterech filmów o tematyce współczesnej. „Czarownice" — to tytuł filmu reżyserii W. Schleifa, opowiadającego o przemianach na wsi niemieckiej, gdzie wiatr postępu wymiata stare przesądy i wierzenia w czary i zabobony. Według scenariusza G. Egela i K. Bortfelda powstaje film o robotniku portowym pt. „Kai V" reżyserii Gustawa von Wagenheima. „Duże i małe szczęście", jest tytułem scenariusza Paula Wiensa, opowiadającego o budowie jednej z wielu nowych dróg w NRD i o przodownikach pracy. Martin Hellberg będzie reżyserem tego filmu. Jednocześnie reżyser Franz Barrenstein przygotowuje do realizacji filmową komedię według powieści Gerharda Hardela „Mała letnia przygoda".

TURGIENIEW SFILMOWANY

Na ekrany Związku Radzieckiego wszedł jeszcze jeden film utrwalający świetne przedstawienie teatralne „Darmozjad" (Nachlebnik), znanej komedii Turgieniewa. Film ten zrealizowany jest przez reż: M. Korczagina i B. Basowa, w roli głównej występują B. Czirkow, L. Dranowska i S. Kuriłow.

teatrze

NOWE SZTUKI CHIŃSKIE

Teatry chińskie wzbogaciły w tym roku swój repertuar o wiele nowych pozycji. Chiński teatr młodzieżowy i Teatr Ludowy w Pekinie wystawią 7 nowych sztuk, wśród nich sztukę pt. „Tschu-Juan" pióra Kuo-Mo-żo, o sławnym starożytnym poecie chińskim, którego 2 200 rocznica śmierci jest obchodzona na całym świecie, zgodnie z uchwałą Światowej Rady Pokoju. Inna ciekawa nowa sztuka, to „Marzenie 40-tu lat" o budowie kolei Czengtu-Czuking.

„IGRASZKI Z DIABŁEM" NA SCENIE MOSKIEWSKIEJ

Państwowy Teatr Kukiełkowy w Moskwie wystawił komedię pt. „Diabelski młyn" opracowaną przez J. Sztoka według znanej sztuki czeskiego pisarza Jana Drdy — „Igraszki z diabłem". Przedstawienie zrealizował Sergiusz Obrazcow, którego kukiełki mieliśmy możność podziwiać również w Polsce na gościnnych występach. Sztuka cieszy się ogromnym powodzeniem u publiczności moskiewskiej i według zdania krytyków radzieckich jest jednym z bardziej udanych przedstawień w tym sezonie.

„BIEG DO FRAGALA" NA SCENIE

Teatr we Wrocławiu wystąpił z ciekawą prapremierą adaptacji scenicznej współczesnej powieści Juliana Stryjkowskiego pt. „Bieg do Fragala", wyróżnionej nagrodą państwową pierwszego stopnia. Adaptacji powieści dokonał reżyser sztuki, laureat nagrody państwowej Jakub Rotbaum.

PIERWSZA SZTUKA TEATRALNA G. GREENA

W Londynie w teatrze „Wyndham" wystawiona została w doskonałej obsadzie pierwsza sztuka teatralna pisarza katolickiego Grahama Greena pt. „The living room". Green poruszył w swym pierwszym dramacie szereg problemów etycznych, pokazał wielkie konflikty ludzkie w dziedzinie moralności i wiary w sposób pasjonujący i wzruszający. W londyńskim przedstawieniu świetną kreację głównej bohaterki Rossi stworzyła młoda aktorka Dorothy Tutim, znany angielski aktor dramatyczny Eric Portmann występuje w roli sparaliżowanego księdza. Całość reżyserowana przez Peter Glenville'a jest jednym z ciekawszych spektakli teatralnych Londynu.

Plastyce

OTWARCIE II OGÓLNOKRAJOWEJ CZECHOSŁOWACKIEJ WYSTAWY PLASTYKI

W dniu 15 maja odbyło się na Zamku Praskim uroczyste otwarcie II Ogólnokrajowej Czechosłowackiej Wystawy Plastycznej. Pierwsza wystawa otwarta została z inicjatywy prezydenta Klementa Gottwalda, w roku 1951. Nad nowootwartą wystawą objął patronat prezydent Republiki A. Zapotocky. Po zagajeniu uroczystości przez przewodniczącego Związku Plastyków Czechosłowackich K. Pokornego, zabrał głos wicepremier prof. dr Z. Nejedly, który stwierdził, że zebrane na wystawie 620 dzieł świadczy o wielkim kroku naprzód plastyków czechosłowackich.

WYSTAWA DZIEŁ BRAQUE'A W SZWAJCARII

W Galerii Sztuki w Bernie otwarto ostatnio interesującą wystawę ponad 150 obrazów G. Braque'a, jednego z największych mistrzów francuskiego kubizmu.

G. Braque urodził się 13 maja 1882 r. w Argenteuil. Dzieciństwo spędził w Hawrze, gdzie jego ojciec, malarz pokojowy, od najwcześniejszych lat wprowadza go w tajniki swego zawodu. Młodego chłopca pociąga jednak szeroki świat. W 1900 r. ucieka do Paryża i w dwa lata później rozpoczyna studia w Szkole Sztuk Pięknych. Jest to okres fauvizmu i pierwsze dzieła Braque'a niewiele różnią się od dzieł Matisse'a, Marqueta, Friesza czy Vlamincka z tego samego czasu. Wkrótce jednak znajdzie swoją własną drogę i już w 1907 roku w dziełach Braque'a można zauważyć pierwsze ślady kubizmu, kierunku, którego będzie potem wybitnym przedstawicielem.

Braque wyraził się kiedyś: „celem mojej sztuki nie jest odtwarzanie anegdotycznych faktów, lecz tworzenie faktów malarskich". Zasady te, niestety, odwiodły go od natury jako podstawy przeżycia artystycznego, zaś jego wielki talent kompozycyjny i kolorystyczny zagubił się w oschłych i pozbawionych życia, choć formalnie doskonałych dziełach.

Malarz grozy wojennej

NIE łatwo przychodzi zgodzić się z legendą, powtarzaną dość uporczywie, że Goya długo pozostawał malarzem nie znanym poza granicami swojej ojczyzny. Odkryli go już przecież romantycy. Porywał ich płomień bohaterstwa, zapamiętała namiętność, urok fantazji i baśni promieniujące z płócien i kartonów Goyi. Kiedy przed stu dwudziestu pięciu laty wielki Hiszpan kończył życie we Francji, istotnie niewiele o nim wiedziano w świecie, ale już wkrótce sława jego talentu poczynała rozbrzmiewać coraz potężniej. Teofil Gauthier w czasie swych podróży po Hiszpanii ulega natychmiast tej sugestywnej sztuce. Czerpał z niej obficie Eugeniusz Delacroix, pod niewątpliwym wpływem rysunków Goyi pozostawał Honoré Daumier — jego malarstwu wiele zawdzięczają impresjoniści. Ale najpiękniej chyba wyraził ten podziw dla Goyi już w połowie XIX wieku Baudelaire w sławnym wierszu o „Latarniach morskich", gdzie oddano mistrzowsko trudną do uchwycenia atmosferę malarstwa Goyi.

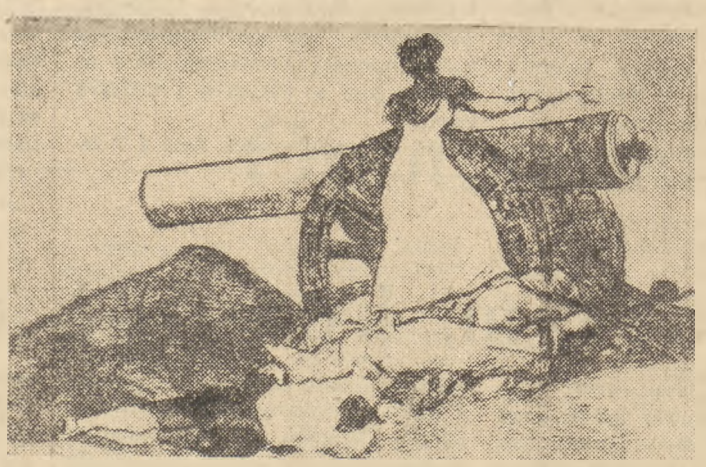

Goya — Dziewczyna z Saragossy.

Goya, jak sen koszmarny pełen spraw nieznanych
Noworodków skwierczących w płomieniach sabatu
Wiedzm przed lustrem i dziewcząt nagich i pijanych
Wabiących czarta lśnieniem pończochy z brokatu
(„Les Phares" — „Fleurs du Mal" — Baudelaire))*

Co zadecydowało o tej nieodpartej fascynacji, jaką sztuka Goyi urzeka i zniewala? Sądzę, że tym sekretem jest „hiszpańskość" Goyi.

Bo Goya, może jak żaden inny z artystów Półwyspu, umiał wyjaśnić jakąś cechę bardzo istotną dla narodu, jego szczególny charakter — całą egzotykę klimatu hiszpańskości i w tym można go porównać tylko z Cervantesem, obaj objawili światu tajemnicę hiszpańskiej kultury — jej dwoistość:

Ostry, niczym nie łagodzony realizm i zawrotny mistycyzm pogrążony we własnym, najdalszym od konkretu, świecie.

Z olejnych obrazów Goyi, z wielkich kompozycji religijnych, jakie malował dla kościołów Saragossy, możemy odczytać wiernie powtórzone przez malarza rysy świata, tak jak się one ukazywały jego oczom, okrutnym w wypatrywaniu prawdy.

Na portretach i pejzażach, w scenach zabaw dworskich i ulicznych, w obrazach procesji Wielkolygodniowych, w wizjach karnawałowych szaleństw — wszędzie pojawia się Hiszpania prawdziwa, niezafałszowana, czasem tylko, jak na portretach rodziny królewskiej, ukazana karykaturalnie.

Ale w cyklach mistrzowskich rysunków Goyi dochodzi do głosu nurt irracjonalizmu, ten sam, który na obrazach El Greca przemieniał ludzkie postaci w bezcielesne zjawy, który gnał opętanego manią bohaterstwa rycerza na wiatraki, a Calderonowi nakazywał uważać życie za formę snu i szaleństwa. U Goyi nurt ten wzbogacony jest o nowe akcenty szyderstwa i grozy. „Caprichos, Disparatos, Tauromachios" — Kaprysy, Szaleństwa, Walki Byków; tak zatytułował Goya swe cykle wypełnione demonami, które wyległy się z jego rozpętanej wyobraźni i z gorzkiej wiedzy o świecie. Właśnie te cykle doskonale reprezentują tradycyjny dla sztuki hiszpańskiej kierunek, nazwany tak trafnie Monstruoso.

Jakie było życie Franciszka Goyi? Takie, jak większości artystów jego epoki. Syn biednej rodziny rzemieślniczej z Fuentetodos, urodzony w epoce zamętu i wstrząsów, poznał cały trud i okrucieństwo swych czasów, przyjrzał się z bliska wojnie — poznał dobrze tę wiedźmę przywleczoną do Hiszpanii przez odwieczną żądzę podboju i żołdactwo napoleońskie. To spotkanie z wojną wydało jeduny w swoim rodzaju owoc: cykl rysunków o „Nieszczęściach Wojennych" — „Los desastros de la Guerra". Tutaj artysta nie musiał szukać pomocy demonów i widm, aby ukazać grozę i zło ówczesnego świata. Wystarczyły obrazy losu, jaki nawzajem zgotowali sobie ludzie, losu, który miał kształt koszmaru. Przez karty „Los desastros de la Guerra" przewijają się dwa hasła: pogarda dla oprawców, chwała bohaterom. Bestialstwa wojenne, które Goya rysuje, to nie chłodne szkice ani powtarzanie dziwaczności świata, ale nieustanny krzyk i nieugaszony protest. Jakże wspaniała jest dziewczyna z Saragossy kierująca armatę przeciw wrogom, jak wstrząsające stracenie patriotów madryckich — obraz olejny nie należący do cyklu „nieszczęść", ale niewątpliwie z ich ducha poczęty. Goya, malarz ludzkiej brzydoty i pozaświatowych zjaw, nieubłagany portrecista epoki, surowy sędzia wszystkiego, co było w niej złe, pozostanie jednym z najbardziej ludzkich malarzy świata, jednym z tych, którzy mówiąc o cierpieniu protestują przeciwko niemu, ukazując potworności wojny walczą z nią nieustannie.

Goya — Rozstrzelanie partyzantów

K.

*) Przekład M. Bieszczadowskiego.

Wszystkim

NIEDZIELNY KIERMASZ KSIĄŻKI

W niedzielę dnia 24 maja w ramach imprez Dni Oświaty Książki i Prasy zorganizowano w Warszawie na kiermaszu książki szereg spotkań czytelników z autorami, miłośników sportu z czołowymi pięściarzami polskimi i zagranicznymi, miłośników teatru z popularnymi artystami sceny i filmu.

M. in. podpisywali swe książki: Żukrowski, Putrament Brzechwa, Broniewska, Dobrowolski, Stryjkowski.

NAGRODA BOUQUINISTÓW

30 kwietnia w Paryżu przyznana została po raz pierwszy, ufundowana w roku ubiegłym, Nagroda Bouquinistów. Ma ona na celu wyróżnianie wartościowych książek, które uszły uwadze krytyków literackich.

W roku bieżącym otrzymał ją Piotr Hubac za swoją powieść „Tistou — les mains vides", wydaną w 1952 r. w Genewie przez Edition du Milieu du Monde.

Nagrodzony pisarz urodził się w 1894 r. w Toulonie; jest on autorem kilku powieści oraz interesujących reportaży z Afryki Północnej.

Wyróżniając książkę „Tistou — les mains vides", którą już przedtem Franciszek Cargo typował na nagrodę Goncourtów, Bouquiniści dali dowód dobrego gustu, jest to bowiem niezmiernie interesująca powieść z życia chłopów, przepełniona miłością do ziemi i do twórczej, codziennej pracy.

ŚMIERĆ EPSTEINA

We Francji zmarł niedawno Epstein, z pochodzenia Polak, sławny ongiś realizator i teoretyk filmu. Epstein należy do tych twórców filmowych, którzy jak Lumière, Delluc, Abel Gancy, stworzyli fundamenty francuskiej kinematografii. Zmarły reżyser zrealizował wiele doskonałych filmów dokumentalnych, był autorem wielu prac teoretycznych z dziedziny filmu. W latach dwudziestych pod wpływem tzw. „Awangardy" nakręcił sławny podówczas, lecz pełen formalistycznych dziwactw „Skarb rodziny Uszerów". Kryzys filmu niemego w okresie upadku wielu słynnych francuskich wytwórni położył kres i produkcji Epsteina. W Cannes zorganizowano wieczór poświęcony pamięci wielkiego twórcy, wyświetlano urywki jego filmów z „Cinémateque", przemawiał też inny patriarcha filmu francuskiego, Abel Gancy.

Redaguje zespół
Prenumerata miesięczna 4 — zł Kwartalna 12 — zł
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, I p., tel. 860 11, 860 12
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3. Zam. 1156. 4-B-10845.